23 kwietnia 2026 Nr 94 (18487)

Sport

81 LAT CZWARTEK UKAZUJE SIĘ OD 1945

Wstyd

zondacrypto

Centrum Olimpijskie im. Jana Pawła II

Z DRUGIEJ STRONY

Krew i złoto



Paweł Czado

Nie może dziwić, że piłka nożna wywołuje niezwykłe namiętności, bo jej udziałem są opowieści, które potrafią złapać za gardło i... nie puszczać. Momentami ekscytacja sięga zenitu, emocje sprawiają, że ludzie nie wytrzymują. Na tyle, że z radości wbiegają na boisko...

Tak właśnie zdarzyło się właśnie w Lens, dawnym górniczym mieście na północy Francji, gdzie Polonia ma duże tradycje i gdzie kocha się futbol. Racing Lens to klub jedyny w swoim rodzaju. Takich właściwie już nie ma. To bowiem zespół z miasta, w którym mieszka mniej ludzi (37 tysięcy) niż regularnie przychodzi na tamtejszy stadion (41 tysięcy). Ta część regionu Hauts-de-France i departamentu Pas-de-Calais jest wyjątkowo charakterystyczna. Drużyna piłkarska zawsze była tu ważna - jako symbol charakteru i pasji miejscowej społeczności. Lens i okolice są trochę jak Katowice i okolice, tyle że bliżej mają tam do morza. Ale hałdy też tam widziałem.

Sto lat temu w tamtejszych kopalniach pracowało 70 tysięcy polskich górników. Transformację region zaczął przechodzić trochę wcześniej niż u nas, ostatnią kopalnię zamknięto tam w 1990 roku. Niemniej tradycje górnicze ciągle są tam żywe. Jednym z symboli tej drużyny jest Joachim Marx, który mieszka tam od ponad pół wieku - w 1975 roku jego udziałem był bodaj najbardziej spektakularny debiut polskiego piłkarza w polskiej lidze zachodniej: w piątek Marx przyjechał do Lens, a w sobotę wbił trzy efektowne gole Lyonowi, a jego drużyna wygrała 3:1. Miejscowi do dziś to pamiętają, odnoszą się do piłkarza z ogromną sympatią, o czym sam miałem okazję się przekonać, przebywając w Lens.

W tym sezonie Racing idzie jak burza. To zaskoczenie, bo szczerze mówiąc aż tak wspaniałej gry chyba nikt się nie spodziewał. Lens szaleje zarówno w lidze jak i rozgrywkach krajowego pucharu. W lidze ostatnio wygrał u siebie z Tuluzą 3:2. Zdołał się podnieść, bo przegrywał 0:2. Po kilku dniach kolejny mecz z tym samym rywalem, ale w półfinale Pucharu Francji. Tym razem zwycięstwo 4:1 po efektownej grze. - Szaleństwo. Ludzie nie wytrzymali i po meczu wpadli na boisko. Piłkarze uciekli do szatni. Spiker zapowiedział, że muszą się cofnąć jeśli piłkarze mają do nich wyjść. Kiedy wyszła z szatni pierwsza trójka, od razu poleciała w stronę publiczności, a rozentuzjazmowani fani - znowu zaczęli biec w ich stronę. Znów musieli się cofnąć... To niezapomniane chwile. W środku nocy w mieście pełnia życia. Ludzie wymachiwali flagami i śpiewali. Wróciłem do domu o drugiej. A tu kolejne święto z okazji zwycięstwa - uśmiecha się Marx.

Klub nigdy dotąd nie wygrał Pucharu Francji. Drużyna o charakterystycznych barwach, które u nas lubią Jagiellonia i Korona (Sang et Or, Krew i Złoto - to popularny przydomek Lens) trzykrotnie była o krok od szczęścia: grała w finale - w latach 1948, 1975 i 1998. Puchar ciągle pozostaje jednak jedynie marzeniem... Niemal trzy dekady temu Lens otarło się o dublet - było mistrzostwo, zabrakło wtedy jedynie pucharowego zwycięstwa w finale nad Paris Saint-Germain. Teraz oba te kluby walczą o triumf w Ligue 1. PSG ma 63 punkty i sześć ligowych meczów do rozegrania, Lens - 62 punkty i pięć meczów. Jest więc ciągle szansa na... to i to!

PS Podobną szansę ma w tym sezonie Górnik Zabrze. Oba kluby są z górniczych miast, Oba są w finale krajowego pucharu. Oba ścigają lidera, będąc obecnie na drugim miejscu. Kto będzie cieszył się bardziej?

Przygotowuję się do roli dyrektora

Rozmowa z **Kamilem Wilczkiem**, byłym snajperem m.in. Piasta oraz Broendby i FC Kopenhaga, obecnie asystentem trenera w słowackim FK Zeleziarne Podbrezova

Skończył pan kurs na dyrektora sportowego i zapowiadał wcześniej, że widzi się właśnie w tej roli. Tymczasem na początku roku został pan asystentem trenera w słowackim FK Zeleziarne Podbrezova. Skąd taka decyzja?

- To jest dla mnie przygotowanie do roli dyrektora sportowego. Mam możliwość współpracy w sztabie trenerskim, więc mogę podpatrywać, czego potrzebują trenerzy, jak na co dzień funkcjonują. W klubie jest też dyrektor generalny, od którego mogę się uczyć. To jest mój zaprzyjaźniony klub, mam tutaj wielu przyjaciół, a mieli wakat na stanowisku asystenta, potrzebowali kogoś i zadzwonili, czy nie byłbym zainteresowany. Uznałem, że warto pomóc właśnie w takiej roli. Jest to dla mnie ciekawe doświadczenie i cieszę się, że tutaj się znalazłem, bo dzięki temu mam wiele wniosków pod kątem przyszłej pracy. Natomiast nie ukrywam, że docelowo chciałbym pracować w strukturach klubu i wierzę w to, że uda mi się to w najbliższym czasie zrealizować.

Czyli praca trenera aż tak bardzo się panu nie spodobała?

- Mam ścieżkę, którą sobie obrałem i po to poszedłem na kurs dyrektora, żeby w tym kierunku się realizować. Nie mam licencji trenerskiej. Mój plan jest długofalowy, a kiedy zacznę pracować w strukturach, to życie zweryfikuje.

Zanim został pan asystentem, to były już jakieś telefony z klubów i przymiarki pana na stanowisko dyrektora?

- Nie jest to takie proste, że skończy się kurs i od razu zostaje się dyrektorem sportowym. To jest odpowiedzialna praca i myślę też, że najpierw trzeba złapać trochę doświadczenia samej pracy w strukturach klubu. Można od razu wskoczyć na głęboką wodę, ale można przez to też szybko popełnić wiele błędów. Nie daje sobie ram czasowych kiedy będę tym dyrektorem. Jak będę nim za rok będzie okej, ale jak za dwa, to też będzie w porządku. Chcę się rozwijać, chcę się edukować i jak przyjdzie ten moment, że nim zostanę, to chcę być jak najlepiej przygotowanym do tej pracy.

W takim razie chciałbym wrócić jeszcze do pana obecnej pracy. W sztabie zajmuje się pan głównie szkoleniem napastników. Na czym to polega?

- Tutaj w klubie napastnicy mieli trochę problemów. Przede wszystkim źle poruszali się w polu karnym i moim zadaniem była poprawa tego, żeby strzelali więcej bramek. W początkowej fazie udało się to zrobić bardzo dobrze, później ta forma trochę się obniżyła. Jest jednak jeszcze kilka meczów i wierzę, że znowu zaczniemy więcej strzelać. Mamy z nimi wstawki w czasie treningów, analizy i wszystko to, co funkcjonuje na innych pozycjach. Pracujemy indywidualnie z piłkarzami, rozmawiamy i eliminujemy błędy albo ulepszamy mocne strony.

U naszych południowych sąsiadów, to już jest norma, że w sztabach są trenerzy, którzy zajmują się pracą z napastnikami?

- To jest inicjatywa naszego klubu, ale nie mam rozeznania jak to wygląda w innych zespołach. Tutaj wszyscy wiedzą, że moją pasją zawsze było zdobywanie bramek i kto ma uczyć strzelania jak nie osoba, która kilka goli zdobyła i wie z doświadczenia, co w danym momencie powinno się zrobić? (śmiech) Myślę, że to klub wpadł na taki pomysł, chce się rozwijać i stąd taka decyzja.

Jeśli zostałby pan gdzieś dyrektorem sportowym, to dążyłby pan, żeby rozszerzyć sztab szkoleniowy o taką osobę?

- Jeśli byłaby taka możliwość, to na pewno chciałbym to wdrożyć. Oczywiście nie po to, żeby taka osoba po prostu była, tylko żeby faktycznie miała odpowiednie kompetencje i dużo wniosła do zespołu. Tak jak wspominałem wcześniej, ta praca z napastnikami może przynieść bardzo dużo korzyści.

W pana zespole najlepszym obecnie strzelcem jest 21-letni Czech Radek Siler. Można go polecić polskim klubom?

- To utalentowany chłopak, który jest cały czas w fazie rozwoju. Uczy się i pokazał, że pomimo młodego wieku, potrafi strzelać bramki. Ma jedenaście goli plus kilka w pucharze. To jest niezły wynik jak na 21-letniego chłopaka. Oby się rozwijał dalej i jak najwięcej strzelał. Czy poleciłbym go polskim klubom? Myślę, że tak. Jest szybki, potrafi zdobywać bramki, tak że jest to naprawdę niezły piłkarz, na którym w przyszłości będzie można zarobić.

Jest pan już kilka miesięcy na Słowacji i da się zauważyć różnice w szkoleniu czy podejściu do młodych piłkarzy w porównaniu z polskimi klubami?

- Jeżeli chodzi o ligę, to uważam, że polska ekstraklasa jest na wyższym poziomie. To nie podlega nawet dyskusji. Natomiast jeżeli popatrzymy na to jakim klubem jest Podbrezova, czyli drużyną z małej miejscowość na Słowacji, i jakie robi transfery, to czapki z głów, że można tak rozwijać piłkarzy. Ściągają tanio, wypromują i sprzedają z zyskiem. Patrząc na historię transferową tego klubu, uważam, że taki model można byłoby przenieść na mniejszy klub w Polsce, żeby też sprzedawał piłkarzy i zarabiał na siebie. Myślę, że tutaj robią to fantastycznie, a wiadomo, że w mniejszych klubach to nie jest takie łatwe i oczywiste. To też pokazuje jaka praca jest tutaj wykonywana od dyrektora generalnego po ludzi w sztabie. Żeby kogoś sprzedać, to naprawdę trzeba poświęcić trochę czasu i wysiłku, żeby tych chłopaków wyszkolić. Trzeba mieć też więcej cierpliwości, bo młodzi piłkarze popełniają błędy. Kluczem jest ocena, czy taki zawodnik się rozwija, czego potrzebuje i jak go sprofilować.

Rozmawiał Miłosz Cebo



KAMIL WILCZEK

Data urodzenia 14 stycznia 1988 r.
Miejsca urodzenia Wodzisław Śląski
Pozycja na boisku Środkowy napastnik
Mecze w ekstraklasie/gole 200/54
Mecze w reprezentacji Polski/gole 3/0
Kariera: GKS Jastrzębie, Piast Gliwice, Zagłębie Lubin, Piast, Carpi, Broendby, Goztepe SK, FC Kopenhaga, Piast

Praca na Słowacji to dla Kamila Wilczka jedynie przystanek, a celem jest praca jako dyrektor sportowy.

Fot. fkzp.sk

Sport c2defb851b

Upadek kontrolowany

Kontuzja czy symulka na potrzeby sztabu szkoleniowego? To było – a i pewnie powróci jeszcze wiele razy – jedno z najgorętszych pytań minionych dni.



Fot. Radosław Makuch/PressFocus

Oj, nabiegają się członkowie legijnego sztabu medycznego do bramkarza z Łazienkowskiej...

Trzykrotne wizyty legijnych fizjoterapeutów na murawie w trakcie meczu z Zagłębiem Lubin i (pozorne?) zabiegi mające stawiać na nogi siedzącego lub leżącego na boisku Otto Hindricha mocno poirytowały szkoleniowca gości. - Bramkarz Legii trzy razy padł na ziemię. Rozumiem raz. Ale trzy? Jesteśmy jedyną ligą, gdzie to się toleruje – podniesionym głosem mówił Leszek Ojrzyński, sugerując, że nie w każdym z tych przypadków Rumun potrzebował pomocy. - Kiedy zrobiło się trochę intensywniej z naszej strony, golkiper padał na ziemię. A minuty mijały. Doliczenie ich na koniec to nie jest to samo – podkreślał opiekun Miedziowych.

– Staram się wykorzystać każdą przerwę w grze, by dać wskazówki zawodnikom. To dzieje się przy kontuzjach, ale i po wszelkich golach – odpowiadał mu zaocznie Marek Papszun. W jego drużynach kłopoty zdrowotne golkiperów w trakcie gry były jednak dość częste, by wspomnieć regularne wizyty masażystów przy Kacprze Trelowskim, ówczesnym bramkarzu numer 1 częstochowskiego Rakowa. Może dlatego Leszek Ojrzyński generalizował, nie gryząc się w język. - Czas przyjrzeć się kontuzjom bramkarzy w trakcie gry. Postuluję o to! - grzmiał na pomeczowej konferencji prasowej.

- Może to tylko odczucie Leszka Ojrzyńskiego? Nie potrafię tego ocenić – tak do sugestii, iż to „symulka" w wykonaniu Hindricha, odniósł się były reprezentacyjny golkiper Adam Matysek. Przyznał, że nigdy w karierze nie spotkał się wprost z sugestią któregokolwiek z trenerów, by udawał uraz. - Takich rzeczy w nie przerabiałem. Choć oczywiście na boisku robisz wszystko, by wygrać spotkanie... Jeśli trzeba wynik dowieźć, to również kradniesz czas – Matysek odwoływał się do bogatej przeszłości boiskowej. Ale krótką rozmowę kończył jednak postawieniem znaków zapytania. - Ale czy kombinowałbym aż tak? W sposób niefajny dla oka? Nie wiem... - wzdychał.

Opiekun Zagłębia – prócz chęci przyglądania się takim „urazom", zgłaszał jeszcze jeden postulat. - Powinno się zmienić przepisy! - zaznaczał. I wskazywał punkt odniesienia w owych kontrowersyjnych sytuacjach. - Bodajże w Niemczech jest zupełnie inaczej; w takich przerwach gracze nie mogą podchodzić do sztabu szkoleniowego – mówił Leszek Ojrzyński.

- Jeśli przepisy zostaną zmienione, to będziemy się do tego stosować. Nie ma żadnego problemu. Poradzimy sobie w inny sposób - zadeklarował Papszun.



Materiały przygotował Dariusz Leśnikowski

Gdzież ci ludzie z wartościami?



Rozmowa z **Łukaszem Surmą**, rekordzistą ekstraklasy w liczbie rozegranych spotkań, dziś próbującym sił w pracy szkoleniowej

Bramkarz „opatrywany" na boisku, a jego koledzy – przy ławce rezerwowych na „lekcji" u swego trenera. Widział pan te sceny w meczu Legia – Zagłębie Lubin?

- Jestem nie tyle przerażony tą sytuacją, co bardzo zmartwiony. To jest – mówiąc wprost – kombinatorstwo, mogące rodzić bardzo poważne konsekwencje dla futbolu jako dyscypliny. Trzeba mieć teraz dużą wyobraźnię, żeby takie rzeczy zastopować!

Mocne słowa! Co pan ma na myśli, mówiąc o tych „poważnych konsekwencjach"?

- Piłka nam się „amerykanizuje". Już i tak mamy kilkuminutowe ingerencje VAR-u. Jeżeli teraz dopuścimy do kolejnych przestojów w grze, to co będzie następne? Oficjalne przerwy na telewizyjną reklamę w pierwszej i drugiej połowie? Za chwilę to już nie będzie ta dyscyplina, która nas tak pociąga, którą kochają miliony.

Widzę, że nie muszę już pytać o to, czy byłby pan zwolennikiem wprowadzenia oficjalnego „czasu dla trenera" - jak w innych dyscyplinach...

- W życiu nie! Zmienność, nieprzewidywalność futbolu to jego największe zalety, wyróżniające go na tle innych dyscyplin. A jej istota to kreatywność, myślenie. Samodzielne myślenie zawodników na murawie!

Daleko pan wybiegł w swej refleksji od clou naszej rozmowy: czyli – najpewniej – prób oszukiwania sędziego poprzez symulowanie kontuzji bramkarza...

- Bo czuję to niebezpieczeństwo zniszczenia naszej dyscypliny. A wracając do sedna: ja bym nigdy – jako piłkarz i trener – nigdy nie wpadł na to, by tak kombinować. Z dwóch przyczyn. Po pierwsze - istotą tej gry jest to, aby oddać 45 minut samym zawodnikom na boisku. I wielkie gwiazdy, i piłkarze zupełnie przeciętni, muszą w tym okresie wpaść w pewien rytm. Maradona nie byłby Maradoną, gdyby tego rytmu nie szukał, a tym bardziej – gdyby te poszukiwania mu przerywać takimi sytuacjami, jak widzieliśmy w meczu Legia – Zagłębie. Po drugie – to jest oszustwo wobec przeciwników. Ja się pytam: to Legia nie ma w swych szeregach kapitanów, liderów potrafiących zareagować na niekorzystny dla niej rozwój wydarzeń na murawie? Przecież to śmieszne, by nie rzec – żałosne.

Jestem pewien, że to nie piłkarze wymyślili ów fortel, umożliwiający trenerowi dodatkową konsultację z całą drużyną...

- Oczywiście. Dlatego – moim zdaniem - związek musi jakoś zareagować na takie sytuacje. A trener Ojrzyński dobrze zrobił, że publicznie poruszył tę kwestię. Gratulacje dla niego.

Jak powinien zareagować związek?

- Długofalowo. Już na etapie szkolenia przyszłych kadr trenerskich. W Szkole Trenerów PZPN znacznie więcej miejsca zajmować powinna etyka tego zawodu. Wyobraża pan sobie, żeby na przykład świętej pamięci trener Orest Lenczyk chwytał się takich metod? Chętnie bym posłuchał jego komentarza do tej sytuacji... To było pokolenie ludzi z wartościami. A dziś – by wygrać – szuka się sposobu obejścia przepisów. Trener Papszun ma wielkie osiągnięcia, świetnie prowadzi swoje drużyny, one są zawsze bardzo zdyscyplinowane. Ale takich rzeczy piłkarzy uczyć nie powinien: oni mają sobie poradzić przez te 45 minut! Mało tego: jaki to jest przekaz etyczny do młodych zawodników? Że można oszukiwać, bo i tak liczy się tylko ostateczny wynik?

Brzydkie to, prawda?



Rozmowa z **Adamem Lyczmańskim**, byłym arbitrem ligowym, laureatem „Kryształowego gwizdka" naszej redakcji, dziś ekspertem Canal+ Sport od spraw sędziowskich

Co może zrobić sędzia w sytuacjach, które komentował trener Leszek Ojrzyński? Czy to jest w ogóle do spenalizowania?

- Dzisiaj sędziowie nie mają na to paragrafu. Jako arbitrzy mamy związane ręce, bo bez bramkarza grać nie można. Jedyne, co możemy – wręcz musimy – zrobić, to kompensacja czasu utraconego na pomoc bramkarzowi. Trzeba więc liczyć skrzętnie te minuty i dorzucić je do pierwszej, tudzież drugiej części meczu.

„Nie ma na to paragrafu" - mówi pan. Szkoda, bo na inne „symulki" boiskowe są...

- Cóż... Ostatnio nawet weryfikowałem sobie, jak na takie sytuacje reagują na przykład Niemcy. Jeden z sędziów asystentów Bundesligi jasno mi jednak potwierdził, że żadnych regulacji w tym zakresie nie mają, bo ich... nie potrzebują. Nikt tam na podobne pomysły nie wpada. Natomiast widzę potrzebę wprowadzenia jakichś wytycznych w takim momentach – przynajmniej w naszej lidze.

Na przykład?

- Ot, choćby nakaz zgromadzenia się reszty zawodników w środku boiska. Albo – strzelam – nakaz opuszczenia murawy przez innego gracza na jakiś czas po wznowieniu gry. Nie wiem, ale mam nadzieję, że jakieś pomysły w głowach ludzi z Kolegium Sędziów się narodzą. Bo to jest – mówiąc delikatnie - brzydkie, prawda?

I niespecjalnie fair, jeśli w ten niesportowy sposób przerywa się na kilka minut dobry okres gry rywala.

- No właśnie. Możemy się przecież domyślać, że to są urojone „kontuzje". Choć – jak widzieliśmy w końcówce meczu Pogoń – Lech w przypadku bramkarza Płamena Andrejewa – może to być faktyczny uraz. Tu widać było wyraźnie, że nie jest to udawany ból i uraz. To też trzeba brać pod uwagę. Ale reakcja polegająca na zmianie przepisów powinna być, bo to dłużej tak wyglądać nie może.

A może – wzorem piłki ręcznej, koszykówki czy siatkówki – trzeba do futbolu wprowadzić możliwość wzięcia „czasu" przez trenera, żeby nie musiał się uciekać do takich sztuczek?

- Właśnie wolałbym, żeby oficjalnie była taka możliwość – jeden raz w każdej połowie. Lepsze to niż robienie z kibiców i rywali... nie powiem kogo, bo nie wypada mi użyć tego słowa. W każdym razie dotkliwie odczuwam brak stosownych przepisów w tym zakresie. Bo Polak potrafi: zgodnie ze starą zasadą „co nie jest zabronione, jest dozwolone", nawet jeśli wiąże się z nabijaniem kogoś w butelkę.

O ile możemy na krajowym gruncie wprowadzić zapis o – na przykład – zakazie zbiegania zawodników do ławki rezerwowych w przypadku potencjalnych „symulek", o tyle wprowadzenie „czasu dla trenera" wymagałoby już pewnie zatwierdzenia przez IFAB?

- No właśnie niekoniecznie. Kiedy otworzy pan książkę „Przepisy gry", na samym końcu jest rozdział pod hasłem „Postanowienia Polskiego Związku Piłki Nożnej". Skoro są federacje, które – na przykład – dopuszczają, już po wykorzystaniu limitu zmian, dodatkową zmianę zawodnika z urazem głowy, to pewnie nikt nie protestowałby, gdybyśmy u nas testowali rozwiązanie adekwatne do tematu, o którym rozmawiamy. IFAB może o tym nie myśli, bo... oni nie mają na świecie z tym problemu. My w Polsce – jak widać – problem mamy , więc PZPN w rozgrywkach szczebla centralnego mógłby coś takiego zapisać.

Brakuje snajpera

W tym roku najważniejszy napastnik Górnika Sondre Liseth zdobył tylko jednego gola. Najskuteczniejszym zawodnikiem zabrzańskiego zespołu dalej jest... Ousmane Sow.



Fot. Sebastian Sienkiewicz/PressFocus

W ostatnich 15 grach Sondre Liseth (z lewej) trafił tylko raz.

GÓRNIK ZABRZE

Za górniczą jedenastką intensywne i bardzo udane tygodnie. Udało jej się awansować do finału Pucharu Polski, a w lidze, na pięć kolejek przed końcem, jest ponownie na medalowej, trzeciej pozycji. Z ośmiu ostatnich gier na dwóch frontach, z czego aż pięć było na wyjazdach, w tym na trudnym terenie w Poznaniu, Lublinie czy Warszawie, Zabrzanie wygrali aż pięć razy, trzykrotnie zremisowwali i stracili dwa gole!

Senegalczyk dalej najlepszy

Jedyne do czego można się przyczepić to ofensywa. Brak w niej takiej postaci, jaką był w latach 2016-20 niesamowity Igor Angulo (88 bramek i 21 asyst w 154 meczach!). Oczywiście, takiego napastnika nie znajduje się za często, ale żeby był choćby ktoś w czwartej części tak dobry, jak „Angulo-gol"...

Po 29 kolejkach na czele klasyfikacji kanadyjskiej, gdzie liczą się bramki oraz asysty, Górniku dalej jest Ousmane Sow, którego przecież od trzech miesięcy nie ma już w Zabrzu. Senegalczyk w pierwszej części rozgrywek był gwiazdą w lidze. Jego bilans w ekstraklasie to 7 goli, 2 asysty. Ma więc 9 punktów w klasyfikacji kanadyjskiej. O dwa oczka wyprzedza Sondre Lisetha i – niespodzianka - nominalnego defensywnego pomocnika Jarosława Kubickiego. Bilans Norwega to 7 bramek, doświadczonego pomocnika: 3 gole i 4 asysty. Co do Lisetha, to sezon w meczu z Lechią w 1. kolejce zaczął jako rezerwowy, zmieniając w końcówce Thodorisa Tsirgotisa, z którym szybko się pożegnano i który – jak inny napastnik, Brazylijczyk Gabriel Barbosa – okazał się wielkim niewypałem transferowym. Grek gra teraz w Finlandii, Barbosa na Słowacji.

Przesunięty z konieczności do przodu Liseth zaskoczył jesienią, kiedy sześć razy trafiał do siatki rywali. W tym roku, z dwunastu gier w lidze i w pucharze trafił tylko raz, w przegranym meczu z GKS-em w Katowicach. Trudno mu zarzucić, że się nie stara, nie walczy, bo z przodu haruje jak wół, ale co tutaj dużo mówić – napastników rozlicza się z liczb, a tych w przypadku Norwega nie ma. Nie jest to zresztą typowa „9". Rzadko w sezonie miał dwie cyfry jeżeli chodzi o zdobywane gole.

Przestał trafiać

Trenera Michala Gasparika pytamy, czy nie martwi go ta sytuacja? – Martwi – odpowiada wprost słowacki szkoleniowiec walczącego na finiszu rozgrywek o dublet zespołu. - Jeśli masz w drużynie napastnika, który w piętnastu ostatnich grach strzela tylko jedną bramkę, to jest to mało. Wierzyłem, że z Koroną Sondre trafi. Mieliśmy już przygotowaną zmianę, na boisko miał wejść Rupanow, ale wydawało się, że po przerwie Sondre się przełamie, pokazywał się, starał. Potem jeszcze wszedł „Poldi", to była dobra zmiana, bo i powalczył, i dał dodatkową energię dla trybun. Jasne, każdy zespół, który chce być wyżej, ma jednego wyróżniającego się zawodnika. W Katowicach jest Bartosz Nowak, który strzela, ma liczby. Na teraz nie mamy u siebie takiego piłkarza i to na boisku czuć. Kiedy gra się nie układa jak chcesz, kiedy przykładowo z Koroną Ikia Dimi nie zagra, a napastnik nie zdobywa gola, jest to odczuwalne. A w tych najważniejszych spotkaniach zdecydują takie szczegóły, detale – podkreśla przytomnie trener Gasparik.

Przypomnijmy, że latem w Górniku był już chorwacki napastnik Antonio Colak, który ostatecznie jednak zrobił woltę i podpisał kontrakt z Legią. A jak po odejściu z Górnika radzi sobie Sow? W duńskim Broendby radzi sobie słabo - w dziewięciu meczach w lidze nie zdobył nawet gola.

KLASYFIKACJA KANADYJSKA GÓRNIKA (BRAMKI + ASYSTY)

9 - Ousmane Sow (7+2)
7 - Sondre Liseth (7+0), Jarosław Kubicki (3+4)
6 - Maksym Chłań (3+3)
5 - Patrik Hellebrand (4+1), Lukas Ambros (1+4)
4 - Erik Janża (3+1)
3 - Lukas Sadilek (2+1), Rafał Janicki (3+0)
2 - Young-jun Goh (0+2), Kamil Lukoszek (1+1), Michał Rakoczy (1+1)
1 - Paweł Olkowski (0+1), Theodoros Tsirigotis (0+1), Taofeek Ismaheel (0+1), Kryspin Szcześniak (0+1), Luka Zahović (1+0), Yvan Ikia Dimi (1+0), Paweł Bochniewicz (1+0), Ondrej Zmrzly (0+1)

Źródło: gornikzabrze.pl

Michał Zichlarz

Gladiatorzy kontra samurajowie

Wielkie gwiazdy piłkarskie początku XXI wieku zawitają na Stadion Śląski, żeby rozegrać galaktyczny mecz.

GALACTICOS SHOW

W najbliższą sobotę na Stadionie Śląskim w drugim roku z rzędu wystąpi Ronaldinho. Brazylijski gwiazdor, który swoimi niebanalnymi umiejętnościami podbił serca kibiców piłkarskich na całym świecie na początku XXI wieku, w poprzednim roku był główną gwiazdą imprezy nazwanej na jego cześć – Ronaldinho Show. Wówczas zagrał w meczu Brazylia – Polska. Tym razem do Chorzowa przyjedzie na wydarzenie nazwane Galacticos Show, w którym organizatorzy – ci sami, którzy tworzyli tamten event – zaplanowali "mecz drużyny Samuraja i Gladiatora". Kapitanem samurajów jest Ronaldinho, a naprzeciw niego stanie legenda Romy - Francesco Totti, reklamowany jako gladiator z krwi i kości. Nie są to jednak jedyne znane na całym świecie postaci, które w sobotę wystąpią na Stadionie Śląskim.



Fot. JP PARIENTE/SIPA/PressFocus

W drugim roku z rzędu Ronaldihno odwiedzi Chorzów.

Światowe gwiazdy

W zespole Ronaldinho wystąpi znakomity bramkarz Dida, w przeszłości grający w Milanie. W polu zobaczymy byłych piłkarzy Interu Mediolan - Javiera Zanettiego, Maicona czy Juana Sebastiana Verona. Zaproszenie do ekipy Ronaldinho otrzymał też m.in. Antonio Valencia, wieloletni zawodnik Manchesteru United czy Javier Saviola, były piłkarz Barcelony i Realu Madryt. Skład przeciwnej drużyny jest równie mocny. U boku Tottiego wystąpi mistrz świata z 2006 roku Marco Materazzi. Ponadto zagrają kultowi Djibril Cisse i Edgar Davids, którzy słynęli nie tylko z gry na najwyższym poziomie, ale też ze... stylu. Cisse regularnie zmieniał kolor włosów, a Davids z powodu jaskry biegał po boiskach w okularach, przez które nie można było go pomylić z nikim innym. Obok nich wystąpią też gwiazdy reprezentacji Francji - Claude Makelele i Robert Pires. Na murawie zobaczymy też Ludovica Giuly, byłego zawodnika Barcelony, Romy czy PSG, a także wieloletniego piłkarza Realu Madryt Michela Salgado. To nazwiska piłkarzy, którzy w pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku byli na pierwszych stronach gazet, o których mówiło się na całym świecie, którzy stali się ikonami futbolu.

Już przyleciał

Ci, którzy jednak w tamtym czasie interesowali się głównie polskim podwórkiem piłkarskim, też powinni być zainteresowani Galacticos Show. W zespołach Ronaldinho i Tottiego zagrają doskonale znani reprezentanci Polski. U boku włoskiej legendy wystąpią Tomasz Wałdoch, Jacek Krzynówek, Grzegorz Mielcarski, a trenerem drużyny jest Jerzy Brzęczek. Z kolei razem za Ronaldinho na murawę wyjdą Jakub Błaszczykowski, Radosław Majdan i Marek Citko. Do Polski przyleciał już Emmanuel Olisadebe, były napastnik reprezentacji, który wystąpił z nią na mistrzostwach świata w 2002 roku. 47-latek wczoraj wziął udział w konferencji prasowej przed wydarzeniem na Stadionie Śląskim. – Jestem podekscytowany i nie mogę doczekać się meczu. Nie wiem, w jakiej jestem kondycji, ale dam z siebie wszystko. To oczywiście tylko mecz towarzyski, ale obie drużyny będą chciały wygrać. Postaramy się dać dobre widowisko – powiedział Olisadebe, który na co dzień mieszka w Nigerii.

Pomimo faktu, że lista piłkarzy, którzy wezmą udział w meczu, robi wrażenie, wciąż można bezproblemowo kupić bilet na wydarzenie. Wiele sektorów nadal jest w dużej mierze niezapełniona. Podczas zeszłorocznego Ronaldinho Show na arenie miało pojawić się ponad 54 tysiące osób. Czy w tym roku podczas galaktycznego widowiska ten wyczyn będzie możliwy do powtórzenia?

(kaj)

SOBOTA, 25 KWIETNIA

Galacticos Show
Mecz Gladiator Team – Samurai Team (g.16.30)

GLADIATOR TEAM: Totti, Materazzi, Cisse, Davids, Makelele, Pires, Krzynówek, Salgado, Frey, Di Livio, Jankulovski, Iaquinta, Mielcarski, Wałdoch, Abbiati, Giuly. Trener Jerzy BRZĘCZEK.

SAMURAI TEAM: Ronaldinho, Dida, Błaszczykowski, Zanetti, Maicon, Edmilson, Veron, Saviola, Kanu, Valencia, Aldair, Majdan, Citko, Olisadebe, Rafinha. Trener Fabio CAPELLO.

Sport c2defb851b

Pora schować ancug do szafy

Wisła, Wisła i... po Wiśle. Chorzowianie muszą zapomnieć o „meczu sezonu" i przyszykować się do realnie ważniejszego starcia z Pogonią Grodzisk Mazowiecki.

RUCH CHORZÓW



Fot. Marcin Bulanda/PressFocus

Jaka liczba wyświetli się na tym telebimie w poniedziałek?

Emocje wyraźnie opadły. Napięcie osiągnęło punkt kulminacyjny w trakcie niedzielnego popołudnia, gdy Ruch i Wisła ponownie pobiły frekwencyjny rekord Polski, gwarantując publikę największą od 1975 roku. O tym spotkaniu mówiło się już długo przed jego pierwszym gwizdkiem. Kiedy tydzień wcześniej Niebiescy szykowali się do starcia z Wieczystą, w ich wypowiedziach i tak krążył temat Wisły – a nie zawsze byli o nią pytani! Każdy jednak czuł pismo nosem i nie ma co się temu dziwić.

Wspólny czas przed kanapą

Jasne, zespół przygotowuje się do każdego meczu tak samo i co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Jednakże liczba bodźców, jaka wpływała na Chorzowian przed przyjazdem Białej Gwiazdy, była ogromna. Trudno, aby to nie odcisnęło piętna na podświadomości i zmęczeniu mentalnym piłkarzy, dlatego w tym tygodniu na pewno występuje w ich głowach wyraźne rozprężenie. Mecz z Wisłą był czymś w rodzaju wesela, które zdarza się – może poza pewnymi wyjątkowymi przypadkami – bardzo rzadko. Ubiera się wtedy garnitur – czy może raczej ancug – idzie do kościoła, na imprezę, jest zabawa, krótko rzecz ujmując: wyjątkowy czas, rzecz nieco- – schowanie ancuga do szafy, wskoczenie w pobrudzony dres i... rozłożenie się na kanapie przed telewizorem. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – powrót do normalności. I do takiej normalności właśnie wraca Ruch. Skończyło się wesele z Wisłą, więc przyszedł czas na wspólne przesiadywanie przed kanapą z Pogonią Grodzisk Mazowiecki.

Znajome twarze

W niedzielę? Ponad 53 tysiące osób. W najbliższy poniedziałek? Na razie liczba uprawnionych do wejścia na Stadion Śląski wynosi... około 7 tysięcy. Zostaną najwytrwalsi, najwierniejsi – co tyczy się zarówno kibiców, jak i dziennikarzy. – Wreszcie jakieś znajome twarze – śmiał się rzecznik prasowy Ruchu Maciej Grygierczyk, gdy przed „meczem mistrzów" zobaczył w przepełnionej strefie dla mediów mnie i Wojciecha Kanię z Radia Silesia -stałych bywalców. W poniedziałek na Stadionie Śląskim znowu będą pewnie tylko znajome twarze. Swoją drogą – czwarty raz w tym sezonie Niebiescy zagrają w ten dzień. Na rozpoczęcie nowego tygodnia jeszcze nie przegrali – zremisowali w Niepołomicach i Głogowie, a także ograli Chrobrego u siebie.

– Teraz będzie można zobaczyć prawdziwych fanatyków. Jestem na każdym meczu niezależnie od dnia, czy to piątek, czy sobota, czy niedziela, czy poniedziałek. I właśnie w poniedziałek będą jak zawsze najwierniejsi kibice Ruchu – napisał pod jednym z moich wpisów na portalu X kibic Niebieskich podpisany jako Mirosław Pyka. Co jednak w tym wszystkim najważniejsze i lekko filozoficzne – to niezależnie od rywala i frekwencji, każdy mecz jest za trzy punkty. A ten z Pogonią... może być nawet ważniejszy niż ten z Wisłą! Beniaminek z Grodziska Mazowieckiego, który na wiosnę obniżył loty, a jesienią podzielił się z Ruchem punktami, jest tylko punkt za Chorzowianami i także liczy na baraże.

Tylko i aż trzy punkty

– Musimy podejść do tego meczu tak samo zmotywowani i nastawić się na równie ciężki mecz, co z Wisłą. Na pewno Pogoń w tym sezonie udowodniła, że jest dobrą drużyną i absolutnie nie będziemy jej lekceważyć. Podejdziemy tak, jak do Wisły. Ten mecz też będzie za trzy punkty. W niedzielę było wielkie święto, ale z boiska można było podnieść maksymalnie tylko i aż trzy „oczka". Tak do tego musimy podchodzić. Przed nami pięć finałów i mam nadzieję, że do końca będziemy walczyć o najwyższe cele – powiedział nam kapitan Ruchu Szymon Szymański.

Piotr Tubacki

Dwa to jeszcze nie seria

Jubileuszowa otoczka natchnęła Tyszan do pokazania pełni swoich umiejętności.

GKS TYCHY



Fot. Łukasz Sobala/PressFocus

Marcin Szpakowski jeszcze przed meczem z ŁKS-em był pełen optymizmu.

Z jednej strony ostatnie miejsce GKS-u Tychy w tabeli i 8-punktowa strata do pierwszej drużyny „nad kreską". A z drugiej strony pierwszy od 19 lipca ubiegłego roku mecz, po którym kibice Trójkolorowych na swoim stadionie mogli się cieszyć ze zwycięstwa. Przez 273 dni, albo – jak kto woli – przez 39 tygodni pogłębiała się rozpacz, więc nic dziwnego, że ta radość z wygranej z ŁKS-em nie była w tonacji euforii.

Owszem, 5733 zaprzyjaźnionych kibiców obu klubów zobaczyło ciekawe widowisko o sporej dramaturgii. Prowadzenie przechodziło bowiem z rąk do rąk nim wreszcie, w 86 minucie, Marcin Szpakowski zadał decydujący cios. Zapewnił gospodarzom sukces. Jednak świadomość, że to nic nie zmienia w sytuacji klubu obchodzącego 55-lecie istnienia mocno uwiera. Było to widać także po minach nagradzanych w przerwie ludzi-symboli tyskiego klubu. Chodzi o byłego prezesa Władysława Wtorka, który został uhonorowany koszulką z numerem 93 oraz Kazimierza Szachnitowskiego - piłkarza, trenera i działacza - któremu wręczono trykot z jego boiskowym numerem 11. Wyróżniono także zawodników, którzy dołączyli do wybitnych postaci w Galerii Tyskiego Sportu: Zbigniewa Konieczkę, Krystiana Odrobińskiego i Jarosława Zadylaka.

Świętowaliśmy jubileusz

Do tego dodajmy specjalnie przygotowane na ten mecz koszulki nawiązujące do górniczych tradycji klubu, górniczą orkiestrę dętą i górniczy poczet sztandarowy, który uroczyście zaprezentował klubowy sztandar tuż przed pierwszym gwizdkiem. A już w trakcie spotkania oprawę godną jubileuszu stworzyli kibice.

- Świętowaliśmy jubileusz i chyba nie mogliśmy stworzyć lepszego widowiska – stwierdził w pomeczowej wypowiedzi strzelec zwycięskiego gola. - Dobrze smakuje zwycięstwo w takim meczu i przy tak fantastycznej atmosferze. Doping niósł się świetnie po całym stadionie. Zawsze przy takiej atmosferze gra się bardzo dobrze, a adrenalina jest na jeszcze wyższym poziomie. Już w całym minionym tygodniu czuliśmy, jak ważne dla naszej całej społeczności będzie to spotkanie. Koszulki jubileuszowe, promocja meczu w social mediach i mnóstwo atrakcji dla kibiców przed jego rozpoczęciem. Naprawdę możemy się cieszyć, że cała otoczka wyglądała właśnie w taki sposób, a my dorzuciliśmy do tego trzy... punkty.

Z przekonaniem i determinacją

Do końca sezonu pozostało jeszcze 5 spotkań. Do zdobycia jest 15 punktów. Matematycznie szansa na utrzymanie ciągle więc istnieje, ale czy tyszanie są w stanie pójść za ciosem i na finiszu rozgrywek popisać się wyczynem bez precedensu? Na razie mają dwa zwycięstwa z rzędu, ale dwa to jeszcze nie seria.

- Już przed meczem mówiłem, że zwycięstwo w Siedlcach może nam dodać pewności siebie oraz wiary we własne umiejętności – dodał Marcin Szpakowski w klubowych mediach. - Z pewnością cieszy fakt, że udało nam się wygrać po raz drugi z rzędu. Nasza mentalność znowu jest bardzo dobra. Mimo że wynik przez moment był niekorzystny, dalej atakowaliśmy oraz stwarzaliśmy sytuacje. To się opłaciło, bo przechyliliśmy szalę zwycięstwa na swoją korzyść. A ja jestem szczęśliwy, że dołożyłem cegiełkę. Gdy Paweł Łysiak przyjmował piłkę w polu karnym, spodziewałem się, że zagra ją do mnie. Po przyjęciu starałem się znaleźć krótki róg między nogami obrońcy. Można powiedzieć, że wpadło to dokładnie tak, jak sobie zaplanowałem. I tak chcemy grać dalej, ale przed nami w niedzielę kolejny bardzo trudny mecz. Zdajemy sobie sprawę, jaką jakością dysponuje Wieczysta. Ale powtórzę swoje słowa sprzed tygodnia:„zwycięstwo może nas napędzić". Mam nadzieję, że dwa wygrane mecze z rzędu dodadzą nam jeszcze większej pewności siebie i znowu zagramy z takim samym przekonaniem i determinacją.

Jerzy Dusik

ŁKS nie chce awansować?!

Chimeryczna forma ŁKS-u wiosną sprawia, że kompletnie nie wiadomo, czego spodziewać się po drużynie Grzegorza Szoki. – Niektórym zwyczajnie nie zależy, aby awansować do ekstraklasy – mówi wprost Grzegorz Krysiak, mistrz Polski z łódzkim klubem z 1998 roku.

ŁKS ŁÓDŹ

Wygraną w Mielcu (2:1) 23 lutego Rycerze Wiosny zapoczątkowali serię sześciu meczów bez porażki, które na nowo pozwoliły fanom z Alei Unii uwierzyć, że ŁKS na dobre włączy się do walki o baraże o ekstraklasę. Sensacyjna porażka z praktycznie zdegradowanym już GKS-em Tychy (2:3) w ostatniej kolejce kolejny raz jednak mocno te marzenia wyhamowała. - Było widać, jak bardzo gospodarze chcieli wygrać mimo swojej sytuacji. Dla nas był to z kolei najsłabszy mecz, odkąd jestem tutaj trenerem. Musimy zastanowić się, czemu taki mecz nam się przytrafił. Bardzo długo rozmawialiśmy o tym, że wchodzimy w taką fazę sezonu, w której trzeba być dobrze nastawionym. W Tychach z jakiegoś powodu się to nie udało – mówił po meczu trener Grzegorz Szoka.

Jak zareagują?

Szkoleniowiec doskonale zdaje sobie sprawę, że kluczowe dla decydujących rozstrzygnięć będzie to, jak drużyna zareaguje po takiej porażce. - Po kiepskim meczu z Chrobrym nasza odpowiedź była bardzo dobra. Liczę na podobną teraz oraz na to, że wspólnie jako zespół odpowiemy właściwym zaangażowaniem, nastawieniem do treningów i pokażemy, że jesteśmy lepszym zespołem od tego, który zagrał w Tychach – dodaje Szoka. Nie gryzący się w język były obrońca Łodzian Grzegorz Krysiak uważa jednak, że kluczowe będą decyzje sztabu. – To trener powinien zareagować, a nie czekać na zawodników. Najsłabsze ogniwa trzeba po prostu odstawić od zespołu, albo wóz, albo przewóz. Jeśli komuś się nie chce grać w ŁKS-ie, to niech



Fot. Artur Kraszewski/PressFocus

Czy piłkarzom ŁKS-u tak dobrze jest w I lidze, że nie „opłaca" im się awansować?

nie gra. W Polsce pojawiły się fajne pieniądze i wielu piłkarzy zrobiło sobie z tego bezstresowy bankomat, to nie dotyczy tylko ŁKS-u, ale też innych klubów gdzie dobrze płacą. To są wyrobnicy i nie mają pojęcia gdzie grają. Trener rządzi i to on musi reagować w trakcie meczu. Kadra jest na tyle szeroka, że można podziękować piłkarzowi, który ewidentnie nie dojeżdża – mówi Krysiak.

Robienie Melona w... melona

Nasz rozmówca mówi wprost, że jego zdaniem kilku zawodnikom awans do ekstraklasy byłby zwyczajnie nie na rękę. - Mają bardzo dobrą posadę w I lidze, grają w takim zespole, który jest chyba szczytem ich możliwości. Dostali szansę, a prawda jest taka, że połowa tych zawodników nie nadaje się w ogóle do grania w I lidze, już nie mówiąc o ŁKS-ie. Jeśli się gra o życie, a tak należy traktować szansę na baraże, to nie można przejść obok meczu. Może myśleli, że Tychy się przed nimi położą? Patrząc na ten mecz momentami aż nie chciało mi się wierzyć, że zawodnicy na tym poziomie, wynagradzani tak sowicie potrafią wyjść i pokazać taką żenadę. Nie szanują tej pracy. Nie wiem, jak na coś takiego mógł pozwolić prezes Dariusz Melon, który wykłada ogromne pieniądze, za którymi nie idzie adekwatny wynik. Mówiąc wprost złapali Melona, a on im rozdaje melony... - nie bierze jeńców Grzegorz Krysiak.

Uzdrowienie sytuacji

Mimo mocno krytycznej oceny swojego klubu, charakterny defensor uważa, że sportowo ŁKS nie pogrzebał jeszcze szans na awans. - Ostatnie lata pokazały, że nawet z szóstego miejsca można awansować, ale jeśli ktoś nie chce zrobić wszystkiego, aby dać sobie na to szansę, to o czym to świadczy? Nie wiem jak podejdą do kolejnych spotkań zawodnicy, zostało pięć kolejek. Otwierała się przed nimi kapitalna szansa, która znów została mocno wyhamowana – uważa nasz rozmówca, którego zapytaliśmy również o odejście szefa pionu sportowego łódzkiego klubu Roberta Grafa. - To uzdrowi sytuację w moim odczuciu. Jeśli czytam opinie, że w ŁKS-ie dawał szansę młodym zawodnikom i potem klub ich sprzedawał z dużym zyskiem, to chyba coś jest nie tak. Nawet gdy pracował w Rakowie, nie przypominam sobie, żeby któryś z wychowanków akademii został wprowadzony do pierwszego zespołu, a potem zrobił karierę. Teraz ma iść do Hajduka Split, może tam w końcu zobaczymy efekty jego pracy – kończy Grzegorz Krysiak.

Mariusz Rajek

Niech poloniści nie składają broni!



Rozmowa z **Jackiem Trzeciakiem**, obecnie drugim trenerem Puszczy Niepołomice, legendą Polonii Bytom, członkiem „Jedenastki Stulecia" tego klubu

W minionej kolejce miał pan okazję z bliska przyjrzeć się Polonii, w której spędził pan kawał piłkarskiego i trenerskiego życia. Bytomianie przegrali 1:2 z Puszczą Niepołomice, w której pełni pan funkcję drugiego trenera. Jaką Polonię pan zobaczył?

- Zespół mocno zmieniony: nie w sferze ustawienia boiskowego czy nawet sposobu gry, ale przede wszystkim w kwestii mentalności. Wierzący w siebie i w swą robotę. Zresztą ta zmiana była widoczna już od meczu w Legnicy, gdzie Bytomianie od 65 minuty byli stroną absolutnie dominującą i walczącą z uporem o wyrównanie. Potem był jeszcze bardzo dobry mecz z Wisłą.

Wymienia pan spotkania, w których na ławce trenerskiej Polonii zasiadał już Wojciech Mróz...

- Bo mam wrażenie, że z początkiem jego samodzielnej pracy delikatnie zmieniło się podejście drużyny do gry. Niemożliwym jest nagła odmiana stylu, taktyki itp. w tak krótkim czasie. Za to całkiem możliwe jest danie drużynie swoistego „natchnienia": przypomnienie jej i każdemu z piłkarzy z osobna, że potrafią grać w piłkę. W efekcie, mimo naszej wygranej, mam wrażenie, że Polonia piłkarsko była jedną z lepszych drużyn, jaka zawitała w tym sezonie do Niepołomic. Owszem, przydarzyły jej się błędy na samym początku meczu – jak się później okazało, istotne dla końcowego wyniku. Pokazała jednak w kolejnych fragmentach spotkania, że – jak sądzę - nie składa jeszcze broni, jeżeli chodzi o walkę o baraże. I niech jej Bytomianie nie składają! Zresztą ten zaległy

Betlic 1. Liga – 25. kolejka (zaległy)
Wieczysta Kraków – Polonia Bytom
dziś, 20.00 – TVP Sport

mecz z Wieczystą pokaże, czy mają prawo o tym myśleć. Moim zdaniem – jak najbardziej.

Wojciecha Mroza – dziś trenera, kiedyś pańskiego kolegę z szatni, a potem i podopiecznego – zna pan dobrze. To ktoś, kto w branży szkoleniowej może osiągnąć sukces?

- Zawsze się śmialiśmy, że Wojtek jest trochę jak mój... „syn", zwłaszcza jeśli chodzi o system wartości, pewien moralny kompas. To mądry, wartościowy człowiek. Kiedy byłem jego trenerem, często rozmawialiśmy o wielu piłkarskich rzeczach. Miałem wrażenie, że już wtedy jakieś zapiski z naszych treningów prowadził; bo często dopytywał o znaczenie ćwiczeń, zadań itp. Pewnie potrzebuje jeszcze trochę czasu, by nabrać doświadczenia w tej pracy. Ale ma charakter i pracowitość, które sprzyjają odniesieniu sukcesu w zawodzie trenera. I ma jeszcze jedną – dla mnie ważną – cechę.

Jaką?

- Pokorę. Ale także umiejętność dostrzegania błędów innych, ich analizy i wyciągania wniosków. Z punktu widzenia kibiców bytomskich wielkim atutem jest zaś to, że jest polonistą z krwi i kości, całym serduchem oddanym klubowi. Żadnego „tumiwisizmu", myślenia: „Nie ta praca, to będzie inna". Dziś tylko tacy ludzie mogą pociągnąć Polonię!

Rozmawiał Dariusz Leśnikowski

Wątpliwości wobec działalności

Coraz mniej piłkarskich partnerów pozostaje giełdzie kryptowalut Zondacrypto.

WIECZYSTA KRAKÓW

Wieczysta Kraków jest kolejnym klubem sportowym, który kończy współpracę sponsorską z firmą Zondacrypto. „Klub Sportowy Wieczysta Kraków informuje, że rozwiązał umowę sponsoringową zawartą w dniu 29 lipca 2025 roku ze spółką BB Trade Estonia OÜ, operatorem giełdy kryptowalut Zondacrypto" – przekazano w komunikacie. Jak wyjaśniono, bezpośrednią przyczyną rozwiązania umowy jest „niepewna sytuacja prawna tego podmiotu oraz wątpliwości dotyczące jej działalności". Dodano też, że te okoliczności znajdują potwierdzenie w „nieuregulowaniu przez sponsora wynagrodzenia umownego przez wiele miesięcy".

Od piątku w śląskiej prokuraturze toczy się śledztwo w sprawie działania Zondacrypto. W chwili obecnej poszkodowanych jest kilkaset osób, które nie mogą wypłacić środków zdeponowanych na giełdzie kryptowalut Zondacrypto. W piątek łączną kwotę szkód oszacowano na 350 mln zł, ale należy się spodziewać, że zarówno ta kwota, jak i liczba poszkodowanych będą rosły.

Kontrakty sponsorskie z Zondacrypto wypowiedziały piłkarski Raków Częstochowa i koszykarskie Dziki Warszawa. W poniedziałek na podobny krok zdecydował się też GKS Katowice, a we wtorek Pogoń Szczecin. Do tego grona dołącza Wieczysta. Jeszcze dwa tygodnie temu szef Zondacrypto Przemysław Kral informował, że to on wypowiedział umowę Wieczystej za niewywiązywanie się ze świadczeń reklamowych. Krakowski klub był przekonany o tym, że ze świadczeń się wywiązywał, więc dopiero teraz, gdy sprawa Zondacrypto trafiła do prokuratury, oficjalnie zakończono współpracę obu podmiotów.

Giełda wciąż pozostaje sponsorem generalnym Polskiego Komitetu Olimpijskiego, a jego prezes Radosław Piesiewicz przekazał, że na razie sponsor wywiązuje się ze wszystkich zobowiązań zawartych w umowie. Nadal oficjalnie trwa też współpraca Zondacrypto z Lechią Gdańsk.

(k)

Sport c2defb851b

Upominek dla Ojca Świętego

Na XIV mundialu we Włoszech była bardzo mocna obsada ludzi związanych ze „Sportem” . Odbyło się nawet spotkanie z papieżem!

Z LAMUSA

Do organizacji mistrzostw w 1990 roku szykowało się kilka ciekawych krajów. Zainteresowanie wyrażał Iran, ZSRR, Austria, Grecja i Anglia. Ostatecznie na placu boju w decydującej rozgrywce znalazła się Italia i Związek Sowiecki. Kto wie czy gdyby nie sowiecki bojkot igrzysk w Los Angeles w 1984, to czy turniej piłkarski sześć lat później nie odbyłby się w tym rozlatującym się po politycznych przemianach państwie? Ostatecznie w maju 1984 FIFA stosunkiem głosów 11 do 5 zagłosowała za Włochami, które po Meksyku stały się drugim państwem goszczącym najlepszych futbolistów w historii po raz drugi – pierwszy turniej na Półwyspie Apenińskim odbył się w 1934.



Jeszcze przed finałem Argentyna - RFN dziennikarze spotkali się z papieżem. Jan Paweł II dostał specjalny prezent od „Sportu”!

Stański po raz trzeci

1990 to cezura w polityce, a także w innych dziedzinach życia, w tym na polu dziennikarskim. Po przełomie w 1989 ogromnym przeobrażeniom uległ rynek prasowy. Wcześniej wszystko kontrolował komunistyczny moloch RSW Prasa – Książka – Ruch. To tam trzeba było mieć układy, żeby zdobywać fundusze na drogie zagraniczne wyjazdy. W gospodarce wolnorynkowej wszystko się zmieniło. Na początku lat 90. „Sport” dostał się w ręce Fibak-Norma-Press, a potem wydawnictwa Marquard, które w 2005 roku chciało „Sport” zamknąć na amen. Nie udało się, dzięki naszym dziennikarzom. Na razie jesteśmy jednak w przededniu XIV mistrzostw świata we Włoszech, na które trzeci raz z rzędu, ale już po raz ostatni jedzie red. Grzegorz Stański. Przypomnijmy, pracował w warszawskim oddziale. Był na MŚ 1982, 1986 i w Italii latem 1990. Ówczesny redaktor naczelny Adam Barteczko zwolnił go niedługo potem. Stański związany był nie tylko z futbolem, ale też ze.. sztangą. Pisał, a pisał dobrze, m.in. także o podnoszeniu ciężarów. Po odejściu ze „Sportu” związał się zresztą z Polskim Związkiem Podnoszenia Ciężarów, gdzie był redaktorem związkowego biuletynu i rzecznikiem prasowym. Miał wiele planów wydawniczych, ale zmarł przedwcześnie, w wieku ledwie 62 lat w grudniu 2009 roku.



Za 25 dolarów

Turniej we Włoszech rozpoczął się od sensacji, od porażki Argentyny z Kamerunem 0:1 na San Siro w Mediolanie. Tradycją było, że w meczu otwarcia występował wtedy mistrz świata. Biało-czerwonym raz było dane dostąpić zaszczytu w takim występie. Było to na mundialu w 1978, kiedy bezbramkowo w meczu nr 1 zremisowaliśmy z RFN. Dwanaście lat później Argentyńczycy mierzyli się z futbolowym Kopciuszkiem Kamerunem. – Wielu z nas po raz pierwszy leciało do Włoch samolotem. Graliśmy u siebie w naszych miejscowych klubach. Ja występowałem w Canonie Yaounde, gdzie miesięcznie zarabiałem 25 dolarów. Potem mierzyliśmy się z piłkarzami klasy Gary Lineker czy Paul Gascoigne, którzy u siebie zarabiali krocie – opowiadał mi wiele lat temu Emmanuel Maboang Kessack, podstawowy gracz kameruńskich Nieposkromionych Lwów, który na boisku ustępował wtedy miejsca superrezerwowemu, wówczas 38-letniemu Rogerowi Milli. Ten wchodził na murawę i... zabawiał się z obrońcami rywali! Dwa razy trafił z Rumunią, ośmieszył kolumbijskiego bramkarza Rene Higuitę w 1/8 finału, żeby poprowadzić zespół aż do ćwierćfinału, gdzie dopiero po dogrywce lepsza była Anglia trenera Bobby Robsona.

KORESPONDENCI „SPORTU” NA MŚ

1950, Brazylia: -
1954, Szwajcaria: Tadeusz Bagier
1958, Szwecja: Tadeusz Maliszewski vel Narcyz Suessermann
1962, Chile: -
1966, Anglia: dr Jerzy Roha
1970, Meksyk: -
1974, RFN: Janusz Jeleń, Zbigniew Łagódka, Jerzy Roha, Józef Bula, Andrzej Konieczny
1978, Argentyna: Janusz Jeleń
1982, Hiszpania: Grzegorz Stański
1986, Meksyk: Grzegorz Stański
1990, Włochy : Grzegorz Stański, Adam Barteczko

Wyjazd „Sportu” na mistrzostwa był sponsorowany, co podkreślano przy tekstach przekazywanych przez Grzegorza Stańskiego. Na miejscu działo się wiele ciekawego. Upokorzona Argentyna podniosła się z kolan w kolejnych grach i doszła ze swoim asem Diego Maradoną aż do finału. Zawiedli natomiast mistrzowie Europy Holendrzy, którzy w grze o ćwierćfinał ulegli RFN – do zjednoczenia Niemiec dojdzie kilka miesięcy później, w październiku 1990 – 1:2 po brzydkim meczu, w który wzajemnie opluwali się Rudi Voeller i Frank Rijkaard. W innej grze o czołową ósemkę Argentyna pokonała odwiecznego rywala Brazylię 1:0, a pomogła... „woda święcona”. Argentyński masażysta podał w trakcie udzielania pomocy swojemu zawodnikowi wodę graczom z Brazylii, po której Branco poczuł się bardzo źle. I takimi metodami można się było posłużyć, żeby dojść na szczyt... Canarinhos pamiętają o tym do dzisiaj.

Stański przysyłał swoje korespondencje z Włoch, a na miejscu czuwał zespół redakcyjny pod okiem szefa działu piłkarskiego Mirosława Nowaka (pojedzie na kolejne mundiale), a także Jerzego Dusika, Krzysztofa Mecnera, Bogdana Nathera, Stanisława Penara, Janusza Śmiłowskiego czy świetnego statystyka Alberta Wowry. Było co poczytać, o czym świadczą zszywki z tamtego czasu!

Listkiewicz rekordzistą

Naszym cichym bohaterem był sędzia Michał Listkiewicz. Zaczynał jako dziennikarz „Sportu” w warszawskim biurze, gdzie pracował z Grzegorzem Stańskim. Pisał do gazety w latach 1977-87, pisze jak wiemy i teraz. Pisanie łączył z sędziowaniem. Od 1986 roku był sędzią międzynarodowym, a na mundialu we Włoszech ustanowił niezwykły i trudny do pobicia rekord. Jaki? Na linii sędziował aż 8 spotkań, w tym mecz otwarcia, półfinał i finał! Pomagał takim arbitrom, jak Francuz Michel Vautrot, Niemiec Aron Schmidhuber, Austriak Helmut Kohl czy swojemu boiskowemu przyjacielowi, Duńczykowi Peterowi Mikkelsenowi. W finale głównym był Meksykanin Edgardo Codesal, a na linii pomagali mu Listkiewicz oraz Kolumbijczyk Armando Hoyos.

Finał był brzydkim spotkaniem. Niestety, sędzia Codesal miał na to wpływ, wyrzucając w 65 minucie z boiska obrońcę Albicelestes Pedro Monzona, w samej końcówce także Gustavo Dezottiego, żeby jeszcze dać Niemcom karnego, po którym trafił Andreas Brehme. Po meczu argentyńscy piłkarze byli wściekli. Wygrażali sędziemu, drzwi do ich szatni zostały skopane. Oskarżyli FIFA o spisek, w czym brylował Diego Maradona, pragnący drugiego tytułu mistrza świata.

Spotkanie z papieżem

Na końcówkę turnieju poleciał też ówczesny redaktor naczelny „Sportu” Adam Barteczko. Wziął m.in. udział w oficjalnej audiencji dla akredytowanych dziennikarzy na mundial, zorganizowanej przez papieża Polaka, wielkiegoJana Pawła II. „Papież rozmawiał z redaktorem naczelnym naszej gazety. Ojciec Święty przekazał serdeczne pozdrowienia dla Czytelników naszej gazety oraz zespołu redakcyjnego, prosił również o chwilę refleksji na temat emocji, które wyzwala sport, a szczególnie piłka. – Rywalizacja na boisku powinna być odzwierciedleniem przyjaźni i szacunku dla pokonanych – powiedział papież. Red. Adam Barteczko wręczył Ojcu Świętemu redakcyjny upominek: miniaturową piłkę z napisem „SPORT” – mogliśmy przeczytać na pierwszej stronie w poniedziałek 9 lipca 1990 po finale Argentyna - RFN.

Michał Zichlarz

Sport c2defb851b

Zatrzymał Atalantę

Bohaterem Lazio w rzutach karnych 21-letni bramkarz Edoardo Motta. W finale Pucharu Włoch Piotr Zieliński zmierzy się z Adrianem Przyborkiem.

WŁOCHY

Wtorkowy półfinał Pucharu Włoch pomiędzy Interem a Como przyniósł mnóstwo goli i... emocji. Rewelacyjna w tym sezonie drużyna trenera Cesca Fabregasa już była w ogródku (a w zasadzie w finale), już witała się z gąską (a w zasadzie z pucharem), ale właśnie wtedy Nerazzurri udowodnili dlaczego są liderami Serie A i odwrócili wynik z 0:2 na 3:2. W meczu Atalanty z Lazio aż tyle się nie działo...

Przez godzinę wiało nudą

Pierwsza połowa prawie do złudzenia przypominała tę z pierwszego spotkania (2:2). Wtedy oba zespoły starały się, próbowały zmusić bramkarzy do wysiłku, ale ostatecznie nie oddały ani jednego celnego strzału. Podobnie było w rewanżu, ale tym razem zawodnicy Atalanty przynajmniej raz zatrudnili Edoarda Mottę (było tez kilka zablokowanych uderzeń). Więcej jednak pracy miał sędzia, bo oba zespoły zdawały sobie sprawę z wagi tej rywalizacji. Zatem na boisku było dużo nerwów, fauli i dyskusji, ale mało gry w piłkę.

Pierwszy konkret przyszedł po dokładnie godzinie gry. Charles De Ketelaere dośrodkował piłkę w pole karne, która odbiła się od ręki jednego z zawodników, ale sędzia nie przerwał sytuacji gwizdkiem, więc po zamieszaniu futbolówkę do siatki wpakował Ederson. Wybuchł radości w Bergamo postanowił ostudzić arbiter, który dopatrzył się przy monitorze, że zawodnik gospodarzy wybił piłkę spod rąk bramkarza. To nieuznane trafienie nie podziałało mobilizująco na piłkarzy. Goście przeprowadzili jedną szarżę, w której piłka odbiła się od ręki obrońcy La Dei, ale... sędziowie nie dopatrzyli się przewinienia.

Rozkręcili się w minutę

Gdy wydawało się, że kibiców czeka dogrywka po bezbramkowym remisie w regulaminowym czasie, to w 85. minucie dośrodkowanie z rzutu rożnego wykorzystał Alessio Romagnoli, który wyprzedził obrońcą Atalanty i wpakował piłkę do bramki. Piłkarze Lazio cieszyli się z prowadzenia... dwie minuty! Nikola Krstovic przytrzymał piłkę w polu karnym, odegrał na wolne przedpole do nadbiegającego Mario Pasalicia, a 31-latek płaskim strzałem doprowadził do remisu, a dogrywki i tak nikt nie uniknął.

W nią świetnie weszli gospodarze, wyszli na prowadzenie, ale sędziowie doszukali się pozycji spalonej. Przez resztę czasu gole się nie pojawiły i awans do finału rozstrzygnąć musiały rzuty karne. Konkurs jedenastek był pokazem indolencji strzeleckiej, bo trafienia zanotowało tylko trzech piłkarzy, a bohaterem został bramkarz Lazio, 21-letni Motta. Biancocelesti awansowali do finału Pucharu Włoch, który ostatni raz wygrali w sezonie 2018/19. Pokonali wtedy w finale właśnie Atalantę! Teraz jednak zmierzą się z groźnym Interem, a zatem dojdzie do polskiego starcia pomiędzy Piotrem Zielińskim a Adrianem Przyborkiem.

Miłosz Cebo

PUCHAR WŁOCH - PÓŁFINAŁ

Atalanta – Lazio 1:1 (0:0, 1:1) 1:2 w karnych. W pierwszym meczu 2:2. Awans Lazio

0:1 – Romagnoli (84), 1:1 – Pasalic (86)
ATALANTA: Carnesecchi – Scalvini (93. Ahanor), Djimsiti, Kolasinac (71. Kossounou) – Zappacosta, de Roon (71. Pasalic), Ederson, Bernasconi (56. Bellanova) – De Ketelaere, Krstovic (89. Scamacca), Zalewski (71. Raspadori). Trener Raffaele PALLADINO.
LAZIO: Motta – Marusic (66. Lazzari), Gila (77. Provstgaard), Romagnoli, Tavares – Basic (77. Dele-Bashiru), Patric (84. Cataldi), Taylor – Cancellieri (66. Isaksen), Noslin, Zaccagni (102. Pedro). Trener Maurizio SARRI.
Żółte kartki: Kolasinac, Scamacca – Cancellieri, Lazzari.

Finał, 13 maja
Inter – Lazio



Fot. IPA/SIPA USA/PressFocus

Edoardo Motta przez całe spotkanie nie prezentował się najlepiej, ale w kluczowym momencie został bohaterem.

NIEOCZYWISTY FINALISTA

FRANCJA

Lens od wtorku czekało na rywala w finale Pucharu Francji. W środowy wieczór w półfinale zmierzył się Strasbourg z OGC Nice. Ekipa znad Morza Śródziemnego w tym sezonie nie radzi sobie najlepiej, znajduje się w dolnych rejonach tabeli, ale... i tak była w stanie pokonać Strasbourg. Zespół, w którym od pierwszej minuty wystąpił Maxi Oyedele, stracił dwie bramki w drugiej połowie. Dublet ustrzelił napastnik Elye Wahi, wprowadzając ekipę z Nicei do walki o trofeum. Dość niespodziewanie, w bardzo słabym sezonie, zespół Claude Puela (od 29 grudnia 2025 roku na stanowisku trenera) może zdobyć pierwsze trofeum od 1997, gdy po raz trzeci zdobył Puchar Francji.

(kaj)

PÓŁFINAŁ PUCHARU FRANCJI

Strasbourg – Nice 0:2 (0:0)
0:1 – Wahi (51), 0:2 – Wahi (82, karny)



Fot. SC Freiburg

Fryburczycy mogą w tym sezonie zdobyć dublet albo... zostać z pustymi rękami, nawet bez awansu do pucharów!

Narracja stricte pucharowa

Stuttgart i Freiburg mają argumentacyjne armaty, które spróbują odpalić w przeciwnym kierunku w gorącej rywalizacji o finał DFB-Pokal!

NIEMCY

Byłoby to niesamowitą historią, gdyby piłkarze Stuttgartu drugi raz z rzędu podnieśli Puchar Niemiec. Przed rokiem, zwyciężając po raz czwarty w dziejach, ograli trzecioligową Arminię Bielefeld, dzięki czemu otworzyli wcale niepustą, ale zakurzoną gablotę z trofeami. Potem mogli to zrobić raz jeszcze – ale przegrali Superpuchar z Bayernem Monachium. Teraz na ichdrodze do Berlina stoi w praktyce derbowy rywal. To będzie nie tylko mecz Stuttgartu z Freiburgiem. To będzie mecz Szwabii z Badenią!

Łączony... z Realem Madryt

– Grając u siebie potrafimy pressować i dominować – pogroził palcem trener VfB Sebastian Hoeness, który w ostatnich dniach stał się jednym z medialnych kandydatów... do objęcia Realu Madryt. W Stuttgarcie stuknęły mu niedawno trzy lata pracy, a jest to okres bardzo owocny, szczególnie mając na uwadze, że objął „klub windę", który kursował między pierwszą a drugą ligą, nie umiejąc nawiązać do swoich najlepszych lat. Teraz z bratankiem słynnego Uliego zespół ma na koncie nie tylko Puchar Niemiec i grę w Lidze Mistrzów, ale i krajowe wicemistrzostwo – pechowe zresztą, bo jak inaczej nazwać sytuację, w której kończy się nad Bayernem... a i tak jest się drugim? Teraz Szwaby ponownie są bliskie awansu do Champions League, a kto wie – może dorzucą jeszcze jeden puchar? – Zdobywanie tytułów to szczyt profesjonalnego futbolu. Dokonaliśmy tego w zeszłym roku i poczuliśmy, jaki to ma na nas wpływ. Samo doświadczenie bycia w Berlinie było wspaniałe. Podniesienie trofeum... coś znakomitego! – rozpływał się nad wspomnieniami Hoeness.

A może do Ligi Mistrzów?

Stuttgart będzie dziś faworytem, ale Freiburg to już od dawna nie są ułomki. Badeńczycy nie wskoczyli co prawda na taki poziom, jak Szwaby, lecz już od dobrych pięciu sezonów są w gronie niemieckich reprezentantów na arenie międzynarodowej – choć na razie zadowalają się Ligą Europy i Ligą Konferencji. Fryburczycy nigdy nic jeszcze nie wygrali, ale byli blisko. W 2022 roku wystąpili w finale DFB-Pokal, gdzie po rzutach karnych przegrali z RB Lipsk, który zdobył swoje pierwsze trofeum w historii (a rok później zrobił to jeszcze raz). Co jednak ciekawe, to że Freiburg w tym sezonie... wciąż może zdobyć swoisty dublet. Puchar Niemiec to jedno, ale zespół pozostaje też w grze o Ligę Europy, gdzie w półfinale czeka go rywalizacja z Bragą. Poza tym jest tam jeszcze faworyzowany angielski duet Aston Villa – Nottingham Forest. Trener Julian Schuster pytany o awans do Ligi Mistrzów właśnie poprzez zwycięstwo w LE mówi krótko: – Nie miałbym nic przeciwko!

Pucharowicz pełną gębą

Jego poprzednik, wieloletni i w pełni legendarny Christian Streich, położył fundamenty pod obecną siłę SCF. Jednakże przez długi czas półżartem, półserio mówił, że dla niego celem na sezon zawsze jest zdobycie 40 punktów, które wedle matematycznych prawideł powinny dać utrzymanie – a wszystko co potem, to już dodatek. Trochę musiał zmienić narracje, gdy omal... nie awansował do Ligi Mistrzów. Teraz Fryburczycy myślą o pucharach pełną gębą. Skład na bieżący sezon zbudowali w taki sposób, aby Schuster spokojnie mógł rotować piłkarzami grając co trzy dni bez utraty jakości i jak widać – to się udaje. W tym kontekście brak kolejnego awansu do pucharów byłby może nie tyle problematyczny (np. pod kątem finansowym), co po prostu regresywny.

W Bundeslidze mogłoby być natomiast ciut lepiej, choć źle też nie ma. Freiburg jest na 7. miejscu, które w teorii nie daje gry w pucharach – ale jeśli Pokal dźwignie ktoś z wyższych miejsc (co bardzo prawdopodobne), wtedy zaświeci się tam lampka Ligi Konferencji. O wyższę lokatę będzie trudno, ale i utrzymanie tej bieżącej może być niełatwe, bo chrapkę na nią ma również ósmy Eintracht Frankfurt, czyli... zwycięzca Ligi Europy z 2022!

Piotr Tubacki

PÓŁFINAŁ PUCHARU NIEMIEC

Bayer Leverkusen - Bayern Monachium 0:2 (0:1)
0:1 - Kane (22), 0:2 - L. Diaz (90+3)
Czwartek: Stuttgart – Freiburg (20.45)

Sport c2defb851b

Maszyna z Balearów

Kylian Mbappe przebudził się, czując na plecach oddech snajpera Mallorki Vedata Muriqiego.

HISZPANIA

Po dwóch meczach ligowych, w których Real Madryt stracił punkty (porażka 1:2 z Mallorką i remis 1:1 z Gironą), Królewscy w końcu odnieśli zwycięstwo. Pokonali 2:1 Deportivo Alaves, a w zwycięstwie pomógł Kylian Mbappe. Na pierwszy rzut oka nie jest to nic dziwnego, w końcu Francuz w ekipie Los Blancos odpowiedzialny jest za zdobywanie goli. Tymczasem był to pierwszy gol Mbappe w Primera Division od 8 lutego! W międzyczasie borykał się z kontuzją kolana (pauzował przez trzy mecze, a w czterech spotkaniach, w których wstąpił, nie był w stanie wpisać się na listę strzelców. To być może nie brzmi jak tragedia, ale do tej pory Mbappe zdobywał gole seriami, a jego najdłuższa przerwa od trafienia w tym sezonie trwała zaledwie dwa mecze!

W meczu z Deportivo Alaves Francuzowi dopisało szczęście, ponieważ po jego uderzeniu piłka odbiła się od obrońcy, myląc bramkarza. Ostatecznie najważniejsze są statystyki – 27-latek zdobył 24. bramkę w tym sezonie, łapiąc oddech, ponieważ gdy on do siatki nie trafiał, jego konkurenci w pościgu o koronę króla strzelców nie spali. Fenomenalnie w tym sezonie spisuje się Vedat Muriqi z Mallorki. Zresztą Mbappe przekonał się o tym na własne oczy, bo to właśnie reprezentant Kosowa był jednym z tych, którzy poprowadzili zespół z Balearów do zwycięstwa w starciu z Królewskimi na początku kwietnia, zdobywając bramkę. Co więcej, także jesienią Muriqi był w stanie pokonać bramkarza Realu.

Wyczyn Muriqiego jest wręcz nieprawdopodobny, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności. Przede wszystkim jest to piłkarz jednej z najgorszych drużyn w lidze. Mallorca nadal jest zamieszana w walkę o utrzymanie, choć wyszła ze strefy spadkowej po ostatniej serii trzech meczów bez porażki. Muriqi odpowiedzialny jest za ponad połowę zdobytych przez zespół bramek. Co jednak ciekawsze, dla reprezentanta Kosowa ten sezon jest pierwszym w karierze, gdy przekroczył granicę 20 goli! Wcześniej grał w Turcji i najlepszym jego wynikiem było 17 goli zdobytych w barwach Rizesporu. Zasłużył przez to na transfer do Fenerbahce, gdzie w ciągu roku 15-krotnie wpisywał się na listę strzelców. Kupiło go Lazio, ale tam Muriqi nie zachwycił. Przez 1,5 sezonu zdobył jednego gola. Przeniósł się do Mallorki, gdzie stał się czołową postacią zespołu, ale dopiero teraz jest supersnajperem. W poprzednim sezonie zdobył siedem goli. W jeszcze wcześniejszym wynik był ten sam. W rozgrywkach 2022/23 wyjątkowo zdobył 15 bramek. Nikt nie mógł jednak przewidzieć, że teraz ten 31-letni napastnik będzie gonił Mbappe w liczbie goli!

(kaj)



Fot. PAP/EPA

Vedat Muriqi przeżywa najlepszy sezon w karierze.

LA LIGA

■ **Elche – Atletico Madryt 3:2 (2:2)**
0:1 – N. Gonzalez (10), 1:1 – Affengruber (18), 1:2 – N. Gonzalez (34), 2:2 – A. Silva (33, karny), 3:2 – A. Silva (75)
Czwartek: Levante – Sevilla (19.00), Rayo Vallecano – Espanyol (20.00), Real Oviedo – Villarreal (21.30)

Był i już go nie ma

Po niecałych pięciu miesiącach pracy trener Liam Rosenior został zwolniony z Chelsea.

ANGLIA

Beznadziejnie. W taki sposób zaprezentowali się The Blues we wtorkowym starciu z Brighton, przegrywając w delegacji 0:3 i będąc stroną niepodważalnie gorszą. Nie oddali nawet strzału celnego, w czym na pewno nie pomogło dosyć specyficzne ustawienie, w którym było tylko dwóch typowo ofensywnych graczy – skrzydłowy Pedro Neto (w lidze 5 goli i 4 asysty) i rezerwowy przez większość sezonu napastnik Liam Delap (gol i asysta). Brighton tym samym wyprzedziło The Blues w tabeli, oddalając ich od strefy pucharowej. Chelsea przegrało 7 z 8 poprzednich spotkań na wszystkich frontach, ogrywając w tym czasie tylko trzecioligowe Port Vale. W 6 z tych meczów nie strzeliło gola, a ostatni raz do siatki w Premier League trafiło 4 marca, gdy wygrało – zaskakująco wysoko, zważając na realia – 4:1 na wyjeździe z Aston Villą. Co do ligi zresztą, to 5 kolejnych przegranych stanowi najgorszą serię The Blues od... 1912 roku!

Fatalne rezultaty niosą za sobą konsekwencje nie tylko w tabeli. Liam Rosenior został wczoraj zwolniony z funkcji trenera. 41-letni Anglik – który na konferencji zdążył jeszcze skrytykować postawę zawodników, używając takich sformułowań, jak m.in. „dramatyczny" – został zatrudniony na Stamford Bridge na początku stycznia, zastępując Enzo Marescę, przechodząc tam z francuskiego Strasbourga, należącego do tej samej grupy właścicielskiej. Zaczął nieźle, ale im dalej w las, tym było więcej drzew. Niektórzy co prawda współczują Roseniorowi sytuacji; tego, że objął zespół w trudnym momencie, że z Brighton musiał sobie radzić bez wielu zawodników (kontuzjowany ostatnio Brazylijczyk Estevao chyba będzie musiał pożegnać myśl o wyjeździe na mistrzostwa świata). Problemy były też poza boiskiem, jak wspominana ostatnio na naszych łamach sprawa zawieszenia Enzo Fernandeza czy kontrowersja z... fryzjerem Marca Cucurelli, który w swoich mediach społecznościowych ujawnił, że w meczu z Brighton nie zagrają gwiazdy drużyny: Joao Pedro i Cole Palmer. Wpis szybko co prawda usunął, ale mleko się rozlało.

Od razu po przegranej z Brighton Rosenior miał pożegnać się ze sztabem, nie przeprowadził też rozmowy pomeczowej z zawodnikami. Drużynę poprowadzi tymczasowo asystent Callum McFarlane, a nie wiadomo jeszcze, kto obejmie ją na stałe – na razie w luźny sposób padają bardzo mocne nazwiska, jak Cesc Fabregas (Como) czy Diego Simeone (Atletico).

Piotr Tubacki



Fot. SPP/SIPA USA/PressFocus

Jezu, co my gramy? – zdaje się myśleć na boisku w Brighton bramkarz Robert Sanchez.

Spadek zagląda w oczy

Na cztery kolejki przed końcem sezonu Nantes jest o krok od powrotu do Ligue 2 po 13 latach przerwy.

FRANCJA

W połowie marca PSG miało rozegrać ligowy mecz z Nantes. Zespół Luisa Enrique zdecydował skorzystać jednak z możliwości przełożenia spotkania z powodu napiętego kalendarza. Wówczas Paryżanie walczyli o udział w ćwierćfinale Ligi Mistrzów z Chelsea. Ostatecznie przełożenie spotkania z Nantes przyniosło oczekiwany skutek, ponieważ PSG bezproblemowo ograło Anglików 8:2 w dwumeczu. Mecz z rywalem z zachodu Francji trzeba było jednak w końcu rozegrać i wczoraj nadszedł moment na odrobienie zaległej kolejki. Zespół z Paryża liczył na to, że oddali się od goniącego go Lens. I tak właśnie zrobił.

PSG wyszło na prowadzenie już w 13 minucie, gdy z rzutu karnego gola zdobył Chwicza Kwaracchelia. Wydawało się, że po golu Gruzina PSG ruszy do ataku i ogra rywali. Tymczasem Nantes postawiło się i w 22 minucie Louis Leroux trafił do siatki. 20-latek miał jednak sporego pecha, bo po długotrwałej analizie VAR sędziowie dopatrzyli się spalonego i anulowali mu drugiego gola ligowego w tym sezonie. Ta sytuacja widocznie załamała Nantes i od tego momentu triumfatorzy ostatniej edycji Ligi Mistrzów kompletnie zdominowali rywalizację. PSG do końca pierwszej połowy zdobyło drugą bramkę – fantastycznym uderzeniem pod poprzeczkę popisał się Desire Doue. Z kolei w drugiej połowie Nantes dobił Kwaracchelia.

Trzybramkowa przewaga była łagodnym wymiarem kary dla bezbarwnego Nantes. Kanarki powoli mogą żegnać się z Ligue 1. Po porażce z PSG nadal są w strefie spadkowej, na przedostatnim miejscu. To jednak nie koniec złych dla nich wieści – do w pełni bezpiecznej, 15. lokaty tracą już 9 punktów. Do końca sezonu do rozegrania pozostały im natomiast tylko cztery mecze. To oznacza, że właściwie jedynym scenariuszem, w którym zespół będzie w stanie się utrzymać, będzie awans na 16. miejsce, na którym aktualnie jest Auxerre. Do tego celu Nantes brakuje pięć punktów. Jeśli ta misja zakończy się powodzeniem, drużyna rozegra baraż o pozostanie w Ligue 1. Jeśli jej się to nie uda, spadnie do Ligue 2 i zagra na drugim szczeblu rozgrywkowym po raz pierwszy od sezonu 2012/13.

(kaj)



Fot. PAP/EPA

Nantes nie było w stanie zatrzymać PSG.

LIGUE 1

■ **PSG – Nantes 3:0 (2:0)**
1:0 – Kwaracchelia (13, karny), 2:0 – Doue (37), 3:0 – Kwaracchelia (50)

Sport c2defb851b

FOGO FUTSAL EKSTRAKLASA

Futsal Świecie - Ruch Chorzów 8:5 (6:5)
Bramki: Przybyszewski 2, Mrówczyński 2, Zaręba, Inacio, Elsner, Kaczkowski – Tkacz 2, Cyman (samobójcza), Jagodziński, Szemiot.

Rekord Bielsko-Biała - GI Malepszy Leszno 3:1 (2:1)
Bramki: Kenji, Krzempek, Vaarela – Szypczyński.

Red Dragons Pniewy - We-Met Kamienica Królewska 2:4 (0:2)
Bramki: Siuda, Kozak – Kożemjaka 2, Vaktor, Mera.

Legia Warszawa - FC Toruń 3:0 (2:0)
Bramki: Alves 2, Możejko.

Piast Gliwice - Eurobus Przemyśl 5:1 (1:0)
Bramki: Vini I, Kriezel, Graca, Bertoline, Widuch – Semenczenko.

Dreman Opole Komprachcice - Widzew Łódź 3:3 (2:3)
Bramki: Bujan 2, Parra – Moreno 2, Rybićkyj.

AZS UŚ Katowice - BSF Bochnia 3:9 (2:2)
Bramki: Widuch 2, Lutecki – Cabalceta 4, Leszczak 2, Wędzony, Almeida, Matras.

Constract Lubawa - Śląsk Wrocław 6:0 (3:0)
Bramki: Silva 2, Lemos, Henrique, Gabriel, Licznerski.

1. Eurobus	29	75	155:46
2. Piast	29	73	155:41
3. Constract	29	64	138:57
4. Leszno	29	59	122:73
5. Rekord	29	54	102:56
6. Legia	29	44	111:117
7. We-Met	29	42	99:81
8. Toruń	29	39	90:115
9. Katowice	29	37	82:141
10. Pniewy	29	36	95:105
11. Śląsk	29	30	74:104
12. Bochnia	29	28	96:108
13. Świecie	29	28	88:127
14. Dreman	29	24	72:123
15. Widzew	29	22	80:139
16. Ruch	29	8	55:181

ŚLĄSKA KLASA OKRĘGOWA

GRUPA I
MOSiR Sparta Zabrze - AP Team Gliwice 3:2.

1. Sierakowice	23	55	74:21
2. Strzybnica	23	55	68:30
3. Łabędy	23	54	79:33
4. Borowa Wieś	23	44	54:30
5. MOSiR Sparta	24	43	55:44
6. UKS Ruch (b)	23	41	53:37
7. Pilchowice (b)	23	40	39:27
8. Boruszowice	23	37	52:37
9. Paniówki	24	36	47:50
10. Bobrowniki Śl.	23	35	61:62
11. Polonia II (b)	24	33	48:35
12. Sośnica	23	30	36:32
13. Żyglin	23	22	43:56
14. Kozłów	23	22	45:67
15. Gwarek II (b)	23	16	34:91
16. Nakło Śl.	23	15	36:76
17. Miechowice (s)	23	13	28:84
18. AP Team (b)	24	7	28:68

GRUPA IV
Unia Kosztowy - Warta Zawiercie 2:3.

1. Sarmacja	21	52	87:19
2. Piaski	21	48	62:31
3. Zawiercie	21	45	53:22
4. Wojkowice	21	42	48:26
5. Wirek	21	39	38:32
6. Brudzowice	21	37	52:40
7. Rogoźnik	21	32	42:40
8. Imielin	21	30	43:43
9. Kosztowy	21	29	36:29
10. Bielszowice	21	27	41:46
11. Stadion Śląski (b)	21	25	39:35
12. Kamionka (b)	21	19	29:65
13. Siemianowice ŚL (b)	21	15	38:52
14. Górnik S. (b)	21	15	26:60
15. Ząbkowice (b)	21	13	27:63
16. Slavia	21	12	25:83

GRUPA VI
Piast Cieszyn - WSS Wisła 0:5, LKS Pogórze - Cukrownik Chybie 3:2.

1. Puńców (s)	17	46	58:13
2. Pietrzykowice	17	32	42:20
3. Milówka (s)	17	31	37:21
4. Ślemień	17	29	45:35
5. Leśna (b)	17	27	31:35
6. Wisła	17	26	42:36
7. Radziechowy-W.	17	25	30:27
8. Pogórze	17	25	30:32
9. Chybie (b)	17	23	25:34
10. Strumień	17	19	33:40
11. Hażlach	17	16	25:41
12. Cieszyn	17	13	22:45
13. Słotwina	17	12	27:42
14. Żabnica	17	11	23:49

(g)

Faworyci nie mieli litości

Pierwsze mecze 1/4 finału potoczyły się po myśli mistrzów i wicemistrzów Polski, którym w sobotę przyjdzie postawić pieczęć na awansie do czwórki.

ORLEN SUPERLIGA MĘŻCZYZN

Wielkie święto w Mielcu. Po raz pierwszy od 2015 roku tamtejsza Stal znalazła się w ósemce i jako beniaminek dostąpiła zaszczytu rywalizacji z broniącą tytułu, Orlen Wisłą Płock. - Nie mamy szans - powiedział trener Robert Lis, czym nie zachęcił kibiców do przyjścia na mecz. Na trybunach zasiadło niewiele ponad 500 osób, a słowa szkoleniowca okazały się... zasłoną dymną. Gospodarze bowiem walczyli, twardo stawiając się faworytom. Nie dość, że nie pozwolili rywalowi na odskoczenie na większą liczbę bramek, to jeszcze kilkukrotnie udawało im się doprowadzić do remisu. Ostatni (9:9) miał jednak miejsce w 16 minucie, bo Nafciarze przyspieszyli, poprawili skuteczność, przejmując pełną kontrolę nad zawodami. Siedem trafień po dwóch kwadransach pozwoliły trenerowi Xavierowi Sabate na roszady i danie szansy zawodnikom, którzy w sezonie zasadniczym grywali mniej. Należał do nich chociażby prawoskrzydłowy Jakub Szyszko, autor 6 bramek, ale „królem polowania" został Siergiej Kosorotow, zdobywca 9 trafień.

Odmienny scenariusz miało spotkanie w Kaliszu. Miejscowy MKS tylko przez chwilę stawiał czoło Industrii Kielce, która po 10 minutach przegrywała 2:8, dominując pod obiema bramkami. Z biegiem czasu Kaliszanie zaczęli łapać rytm, poprawiając skuteczność i ograniczając straty. W 25 minucie zdołali zmniejszyć dystans do czterech trafień (9:13), co dało nadzieję na bardziej wyrównaną końcówkę premierowej odsłony. Kielczanie odpowiedzieli jednak zdecydowanie, a dobrą i skuteczną grę kontynuowali po zmianie stron. Swoje dołożyli bramkarze - Klemen Ferlin obronił aż 12 z 21 rzutów (57%), a Adam Morawski 7 z 19 rzutów (37%).


Fot. Orlen Superliga

Arstem Karalek (w środku) trzykrotnie przechytrzył Piotra Wyszomirskiego...

Stal Mielec - Orlen Wisła Płock 23:35 (14:21)
STAL: Kozina, Witkowski - Stefani 4, Segal 4, Mrozowicz, Kotliński 2/1, Tokarz 2, Wąsowski, Przybylski 3, Wałyncew, Kasai, Krasouski 2/2, Sikora, Sanek 3, Tarasewicz 3, Janus. Kary: 6 min. Trener Robert LIS.
PŁOCK: Bergerud, Alilović - Daszek, Richardson 2, Zarabec 2, Serdio 3, Kosorotow 9, Sroczyk 1, Mihić 4, Janc 3, Susznja, Szafryna, Szyszko 6/1, Szostak 4, Samoiła 1. Kary: 6 min. Trener Xavier SABATE.
Stan rywalizacji 0-1.

Netland MKS Kalisz - Industria Kielce 21:37 (12:17)
KALISZ: Wyszomirski, Szczecina, Burzawa - Poliszczuk 2, Starcević 6/2, Ribeiro 3 (CZK, 40 min - faul), Kucharzyk 1, Moryń 2/2, Fedeńczak 3/2, Molski 1, Wróbel 1, Kołodziejczyk 2, Bekisz, Białowąs. Kary: 6 min. Trener Rafał KUPTEL.
KIELCE: Ferlin 1, Morawski - Moryto 3, D. Dujszebajew 2, Vlah 2, Monar 1, Olejniczak 4, Jarosiewicz 8/6, Magueda 3, Konkoud 2, Karalek 3, Nahi 1, Sićko 6, Rogulski, Latosiński 1/1. Kary: 8 min. Trener Tałant DUJSZEBAJEW.
Stan rywalizacji 0-1.

Energa Bank BPS MMTS Kwidzyn - Rebud KPR Ostrovia Ostrów Wielkopolski czwartek, 20.30

KGHM Chrobry Głogów - PGE Wybrzeże Gdańsk niedziela, 12.30

MKS Piotrkowianin - MKS Zagłębie Lubin 31:32 (13:13)
PIOTRKOWIANIN: Chmurski, Kot, Lewandowski - Stolarski 5, Grzesik 3, Dróżdż, Mastalerz 6, Filipowicz 1, Szopa 10/5, Rutkowski 1, Gogola 4, Surosz, Wawrzyński, Jurczenia, Pożarek 1, Wadowski. Kary: 10 min. Trenerzy: Kamil WASILEWSKI i Stanisław MAKOWIEJEW.
ZAGŁĘBIE: Byczek, Schodowski, Kurkiewicz - Świtała 2/1, Dudkowski, Drozdalski 5, Kałużny 1, Michalak, Czuwara 4/3, Iskra 3, Krupa 9, S. Gębala, Pedryc 6, Krysiak, Pietruszko, Wojtala 2. Kary: 12 min. Trener Grzegorz KLIMCZAK.

Corotop Gwardia Opole - KS Lotto Puławy czwartek, 18.00
Zepter KPR Legionowo pauzuje

Grupa spadkowa

9. Legionowo	24	30	662:680
10. Gwardia	24	27	672:726
11. Piotrkowianin	25	13	667:814
12. Zagłębie	25	11	686:884
13. Puławy	24	10	686:884

Drugie mecze ćwierćfinałowe - 25-29 kwietnia: Płock - Stal, Kielce - Kalisz, Ostrovia - Kwidzyn, Wybrzeże - Chrobry; 1. runda play offu - 26-29 kwietnia (mecz i rewanż): Stal - Płock, Kalisz - Kielce, Kwidzyn - Ostrovia, Chrobry - Wybrzeże; 2. seria grupy spadkowej - 27-29 kwietnia: Zagłębie - Legionowo, Gwardia - Piotrkowianin.

ORLEN SUPERLIGA KOBIET

Enea MKS Gniezno - Krasoń MKS Piotrcovia 36:31 (18:7)
GNIEZNO: Hypka, Konieczna, Krupa -Chlebik - Szczepanik 5/1, Łęgowska 1, Fegić 3, Głębocka 5, Cygan 10, Lipok 9/2, Wabińska, Rocha 1, Nurska 2, Kuriata, Bartkowiak, Musiał. Kary: 8 min. Trener Peter KOSTKA.
PIOTRCOVIA: Sarnecka, Cieślak - Szczukocka, Roszak 6/2, Polańska 2, Noga 4, Masna 5, Gadzina 4, Pankowska 2, Grobelna, Byzdra 3, Królikowska 3, Haric 2. Kary: 6 min. Trener Horatiu PASCA.

PR Koszalin - KGHM MKS Zagłębie Lubin niedziela, 16.00

KPR Gminy Kobierzyce - PGE MKS El-Volt Lublin niedziela, 16.00

Grupa mistrzowska

1. Zagłębie	24	65	822:626
2. Lublin	24	63	764:608
3. Piotrcovia	25	48	737:680
4. Kobierzyce	24	34	706:680
5. Gniezno	25	31	702:698
6. Koszalin	24	30	640:740

26. seria - 1-3 maja: Gniezno - Koszalin, Piotrcovia - Lublin, Zagłębie - Kobierzyce.

(mar)

Odszedł Stanisław Majorek

Polska piłka ręczna poniosła ogromną stratę. Zmarł współtwórca jedynego w tej dyscyplinie medalu olimpijskiego.

W wieku 89 lat zmarł Stanisław Majorek, były znakomity trener - poinformował ZPRP. Na igrzyskach w 1976 roku w Montrealu, wspólnie z Januszem Czerwińskim, poprowadził reprezentację mężczyzn do brązowego medalu.

Stanisław Majorek urodził się 25 czerwca 1937 roku w Pleśnej koło Tarnowa. Był absolwentem Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego w Krakowie, a w czasie studiów zawodnikiem AZS-u Kraków, ale szybko został trenerem. W latach 1967-68 prowadził kadrę juniorów, a w latach 1970-78, razem z profesorem Czerwińskim, a następnie Igorem Pazurem, odpowiadał za wyniki reprezentacji seniorów. Największy sukces odniósł na igrzyskach w Montrealu, gdzie Biało-czerwoni, o których sile stanowili Jerzy Klempel, Andrzej Szymczak czy Zygfryd Kuchta, zajęła 3. miejsce. To do tej pory jedyny medal olimpijski w tej dyscyplinie sportu... Dodajmy, że na mistrzostwach świata w 1974 i 1978 Polacy finiszowali odpowiednio na 4. i 6. pozycji. Na przełomie lat 70. i 80. Majorek objął reprezentację Luksemburga, a potem, przez blisko 15 lat (z kilkuletnią przerwą) pracował w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, a Jego największym sukcesem w klubowym szczypiorniaku był Puchar Polski wywalczony ze Stalą Mielec w 1971 roku

Po zakończonej karierze trenerskiej Stanisław Majorek pełnił ważne role w ZPRP. Był przewodniczącym Komisji Szkoleniowej (1980-88), wiceprzewodniczącym Rady Trenerów (2006-08) oraz członkiem Rady Trenerów (2008-12). Za wybitne osiągnięcia - już w 1976 roku - został odznaczony Krzyżem Kawalerskim, a w 2004 roku Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W 2012 roku Kapituła ZPRP wyróżniła Go Odznaką Diamentową z Wieńcem, zaś w lipcu 2022 roku, w Alei Gwiazd Sportu we Władysławowie, odsłonięto Jego gwiazdę.


Fot. ZPRP

Stanisław Majorek był wybitną postacią nie tylko polskiego szczypiorniaka.

Sport c2defb851b

Załamanie pogody

I LIGA

Wpółfinale play offu potwierdziła się stara zasadza: kto nie wygrywa w trzech setach, ten przegrywa w tie-breaku. Siatkarze GKS-u Katowice, zwycięzcy sezonu zasadniczego, na własnym parkiecie w 1/2 finału wygrali z zawsze groźnym Mickiewiczem Kluczbork 3:0, ale rewanżu się obawiali. Ich niepokój był uzasadniony, choć początek nie zapowiadał tragedii GieKSy, która przegrała 2:3. Wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazywały, że GieKSiarze sięgną po wygraną. Podopieczni trenera Emila Siewiorka w pierwszych dwóch odsłonach zupełnie zdominowali wydarzenia na parkiecie i wysoko je wygrali. Ze spokojem oczekiwali kolejnego seta. Tymczasem nastąpiło w nim nagłe załamanie pogody, bo gospodarze zwiększyli siłę ognia i w trzecim secie, najważniejszym dla przebiegu meczu, wygrali do 21. A potem nastąpił zjazd w dół. Przegrana do 13 nie przystoi zespołowi, który wygrał sezon zasadniczy. Tie-break był tylko potwierdzeniem niemocy GieKSiarzy. Teraz przyjdzie im szybko wyciągnąć wnioski z tej bolesnej lekcji.

- Jestem tak poirytowany, że nie potrafię tego wyrazić tego w słowach – powiedział trzęsący się ze złości dyrektor sekcji GKS-u, Jakub Bochenek. - Po dwóch pewnie wygranych setach przegraliśmy kolejnego, ale takiej niespodzianki się nie spodziewałem. Takiego meczu nie można było przegrać! Tak doświadczony zespół nie może sobie pozwolić na taką przegraną.

■ **Mickiewicz Kluczbork - GKS Katowice 3:2 (16:25, 17:25, 25:21, 25:13, 15:11)**

KLUCZBORK: Bereza (2), Maruszczyk (21), Janus (6), Linda (5), Pasiński (7), Kalembka (13), Łysiak (libero) oraz Nishi (libero), Gil, Mucha (6), Rybicki (6),Gawrzydek (2). Trener Marcin ŁYSIAK.

KATOWICE: Pająk (4), Ferens (10), Krulicki (7), Superlak (13), Włodarczyk (21), Hudzik (13), Marek (libero) oraz Domagała (4), Fenoszyn, Schmidt, Gibek. Trener Emil SIEWIOREK.

Stan rywalizacji 1:1; decydujący mecz w niedzielę w Katowicach. **(sow)**



Fot. Grzegorz Misiak/PressFocus

Częstochowianie na parkiecie się nie popisali, ale mimo to zachowali status PlusLigowca.

Pomocna dłoń

Norwid Częstochowa, mimo że sportowo zaliczył spadek, zostaje w PlusLidze. Zdecydowało o tym wycofanie się z rozgrywek JSW Jastrzębskiego Węgla.

PLUSLIGA

Bieżący sezon dla częstochowskiego klubu był katastrofalny. Mimo wielkich nazwisk w składzie – Patrik Indra, Luciano De Cecco czy Milad Ebadipour – zajął ostatnie miejsce w lidze i został zdegradowany. Z „pomocą" przyszedł jednak JSW Jastrzębski Węgiel, który po wycofaniu się głównego sponsora, Jastrzębskiej Spółki Węglowej, popadł w ogromne tarapaty finansowe, postanawiając nie przystępować do kolejnych rozgrywek.

22 kwietnia Polska Liga Siatkówki, która zarządza rozgrywkami PlusLigi, przekazała, że częstochowski klub w sezonie 2026/27 nadal będzie mógł grać w ekstraklasie.

W związku z oświadczeniem Klubu Sportowego Jastrzębski Węgiel SA (dalej „Klub"), prowadzącego drużynę JSW Jastrzębski Węgiel, o rezygnacji z udziału w rozgrywkach PlusLigi w sezonie 2026/27 – złożonym przed zakończeniem fazy zasadniczej sezonu 2025/26 – PLS oraz PZPS uznały, iż doszło do zdarzenia przewidzianego w § 18 ust. 3 Regulaminu, tj. zmniejszenia liczby drużyn uczestniczących w rozgrywkach. W ocenie Zarządzającego i PZPS celem postanowień § 18 ust. 3 Regulaminu jest zapewnienie integralności rozgrywek oraz stabilności organizacyjnej PlusLigi w sytuacjach nadzwyczajnych, które nie wynikają z rywalizacji sportowej. W konsekwencji ziszczenia się przesłanek określonych w § 18 ust. 3 Regulaminu, nie ma zastosowania przepis § 18 ust. 1 Regulaminu w zakresie, w jakim przewiduje się utratę uprawnień do udziału w rozgrywkach PlusLigi oraz statusu klubu – członka PlusLigi przez drużynę zajmującą ostatnie miejsce w tabeli po zakończeniu fazy zasadniczej sezonu 2025/26, tj. przez Klub Sportowy Norwid Częstochowa Sp. z o. o., prowadzącą klub Steam Hemarpol Politechnika Częstochowa (dalej „Norwid Częstochowa").

W rezultacie Norwid Częstochowa, który po zakończeniu fazy zasadniczej sezonu 2025/26 zajął ostatnie miejsce w tabeli, zachowuje uprawnienie do udziału w rozgrywkach PlusLigi w sezonie 2026/27 oraz status klubu – członka PlusLigi" – czytamy w komunikacie Polskiej Ligi Siatkówki.

Podkreślono w nim, że uprawnienie to ma charakter warunkowy i jest uzależnione od spełnienia wszystkich obowiązków licencyjnych i regulaminowych.

PLS, mimo pozostania Norwida w PlusLidze, nie zmieniła zasad awansu do elity. „W sezonie rozgrywkowym 2026/27 dopuszczenie do rozgrywek może uzyskać klub I Ligi lub inny podmiot wskazany przez PZPS, pod warunkiem spełnienia wszystkich wymogów przewidzianych w Regulaminie" – zapewniono.

(mic)

Raz w górę, raz w dół

Rzeszowianki potrzebują jeszcze tylko jednej wygranej do złota. Trzecie finałowe starcie pełne było wahań i zwrotów akcji.

TAURON LIGA

Łodzianki, po zwycięstwie w meczu numer 2, nabrały nowej wiary, że są w stanie pokonać w finałowej rywalizacji DevelopRes. Do trzeciego starcia w Rzeszowie przystąpiły więc pełne nadziei.

Mecz miał zaskakujący przebieg. Obie ekipy grały bardzo nierówno. Tylko początek był wyrównany (3:3). Miejscowe błyskawicznie jednak odskoczyły. Kapitalnie grały w bloku. Nie potrafiły się przez niego przebić ani paulina Damaske, ani Maja Storck. Z kolei Sasa Planinsec, próbując ominąć ręce blokujących, nie trafiała w pole gry. Po drugiej stronie siatki ofensywnie nastawione były Taylor Bannister i Julita Piasecka. Rzeszowianki dokładnie też przyjmowały zagrywkę rywalek. Dzięki temu Katarzyna Wenerska mogła wykorzystać środkowe, co robiła bardzo chętnie. Dorsman i Laura Heyrman nie zawodziły. – Przy takim przyjęciu, jakie dzisiaj miała, to aż miło było rozgrywać. Chwała za to dziewczynom, bo mogłam dużo grać środkiem – mówiła Katarzyna Wenerska, rozgrywająca DevelopResu.

Rzeszowianki otworzyły mecz bardzo efektownie. W pierwszej odsłonie straciły zaledwie 13 punktów. W drugiej nieoczekiwanie role się odwróciły. W PGE Budowlanych na wyższy poziom wskoczyły Storck oraz Damaske. Gra DevelopResu natomiast całkowicie się załamała. Przy wyniku 5:8 miał.. 0 procent skuteczności! Wszystkie punkty zdobył po błędach rywalek. Potem było nieco lepiej – skuteczność wskoczyła na 12 procent - nie na tyle jednak, by dotrzymać kroku Łodziankom.

Trzeci set i znów zmiana ról. Jak w pierwszej partii przyjezdne stanęły. Trener PGE Budowlanych, Maciej Biernat, zmienił prawie całą wyjściową szóstkę, lecz nic to nie dało.

Podstawowe zawodniczki wróciły na boisko na czwarty set, ale rozpędzone Rzeszowianki nie dały się zatrzymać. Grały jak z nut. Miały aż 10 punktów przewagi (20:10). Ekipa z Łodzi nie dała za wygraną. Jeszcze raz się poderwała do walki i o mało nie doprowadziła do tie-breaka. Odrobiła straty (24:24). Zabrakło jej jednak odrobiny szczęścia. W kluczowych akcjach Planinsec zaserwowała w siatkę, a po chwili Damaske nie przebiła się przez blok DevelopResu.. - Nierówne spotkanie. Sinusoida. Nie wiem skąd takie wahania. Przeanalizujemy to, co się wydarzyło. Prawdopodobnie nie wytrzymałyśmy presji – mówiła tuż po spotkaniu Joanna Lelonkiewicz, środkowa PGE Budowlanych.

Kolejny mecz w niedzielę w Łodzi. **(mic)**

FINAŁ (DO 3. ZWYCIĘSTW)

■ **DevelopRes Rzeszów – PGE Budowlani Łódź 3:1 (25:13, 17:25, 25:14, 26:24). Stan rywalizacji 2-1.**

RZESZÓW: Wenerska, Piasecka (12), Dorsman (15), Bannister (21), Jasper (4), Heyrman (14), Szczygłowska (libero) oraz Kubas, Sieradzka (1), Chmielewska, Jansen (1). Trenerka Jelena BLAGOJEVIĆ.

BUDOWLANI: Grabka (2), Damaske (17), Lelonkiewicz (6), Storck (14), Buterez (15), Planinsec (5), Łysiak (libero) oraz Siuda, Majkowska (1), Drużkowska (1), Honorio (3). Trener Maciej BIERNAT.

Sędziowali: Marek Lagierski (Czeladź) i Paweł Kapica (Częstochowa). **Widzów** 3620.

Przebieg meczu

I: 10:5, 15:7, 20:10, 25:13.
II: 6:10, 9:15, 13:20, 17:25.
III: 10:4, 15:6, 20:9, 25:14.
IV: 10:4, 15:5, 20:10, 26:24.

Bohaterka – Switłana DORSMAN.

Pożegnanie środkowej

Agnieszka Korneluk zakończyła występy w kadrze. W ostatnim sezonie pełniła w niej funkcję kapitana.

REPREZENTACJA KOBIET

Dwumetrowa Korneluk od 2012 roku była regularnie powoływana do seniorskiej reprezentacji Polski, wcześniej występowała w kadrach młodzieżowych. Ma na koncie m.in. trzy brązowe medale Ligi Narodów oraz wicemistrzostwo Igrzysk Europejskich. Po rezygnacji Joanny Wołosz z gry w zespole narodowym, została jej kapitanem. W 2019 roku otrzymała nagrodę dla najlepszej środkowej mistrzostw Europy, w 2024 i 2025 okrzyknięto ją najlepszą środkową turnieju finałowego Ligi Narodów.

31-letnia siatkarka za pośrednictwem Instagrama poinformowała o zakończeniu gry w reprezentacji. „Dlaczego odkładałam to pożegnanie? Ponieważ nikt nie lubi pożegnań… ale to pożegnanie jest wyjątkowe. Ponad 20 lat treningów, gra w reprezentacji od 2012 roku i profesjonalna kariera w klubach od 2013 roku – ten etap mojego życia dobiega końca. Ale to pożegnanie nie będzie smutne. Będzie jak siatkówka, pełne pozytywnych emocji. Ten piękny sport drużynowy zawsze dawał mi takie uczucia i ja również chciałam to przekazać kibicom. Ci, którzy mnie znają, czasem widzieli też moje łzy i złość… Ale zawsze byłam autentyczna, nikogo nie oszukiwałam. (...) Całe moje serce oddałam siatkówce. Reprezentacji Polski w dobrych i trudnych chwilach dałam wszystko, co mogłam. Reprezentowanie Polski zawsze było dla mnie ogromnym powodem do dumy" - napisała, dementując plotki o ciąży.

Kornelukw niedzielę zakończyła swój pierwszy w karierze sezon w lidze tureckiej - z Fenerbahce Stambuł zdobyła wicemistrzostwo kraju. Kilka dni wcześniej siatkarka poinformowała, że opuszcza turecki klub. Wychowanka Energetyka Poznań wcześniej reprezentowała barwy Impelu Wrocław, Budowlanych Łódź, włoskich klubów, Pomi Casalmaggiore i Savino del Bene Scandicci oraz Grupy Azoty Chemika Police i DevelopResu Rzeszów.

Sport c2defb851b

„Bliźniak FIBA" w Galerii Sław

Historyczne wyróżnienie dla Ludwika Miętty-Mikołajewicza.

GALERIA SŁAW FIBA

Ludwik Miętta-Mikołajewicz, legenda polskiej koszykówki i wieloletni szkoleniowiec Wisły Kraków, został oficjalnie wprowadzony do Galerii Sław FIBA. To wydarzenie bez precedensu – 94-letni Krakowianin jest pierwszym polskim trenerem, który dostąpił tego zaszczytu. Podczas uroczystej ceremonii w Berlinie, ze względu na wiek laureata, wyróżnienie odebrała córka, Katarzyna Malita. Wzruszająca chwila nastąpiła, gdy ze sceny padły słowa skierowane bezpośrednio do ojca: „Tatuniu, to dla Ciebie".

Budował doskonałość

- Nasz laureat budował doskonałość tak, jak robią to wielcy trenerzy. To znaczy: nie w jeden sezon, ale przez całe życie. W polskiej lidze krajowej standard, jaki wyznaczył z Wisłą Kraków, jest trudny do wyobrażenia. Pomyślcie tylko o 28 sezonach. W ciągu 28 sezonów jego zespół zdobył 14 tytułów mistrza kraju i 21 razy stawał na podium, w tym zaliczył passę od 1962 do 1977 roku. Na arenie międzynarodowej poprowadził Polskę do wicemistrzostwa Europy kobiet (FIBA Women's EuroBasket) zarówno w 1980, jak i 1981 roku - przedstawił szkoleniowca prowadzący ceremonię Chris Brow.

Kluczowa życzliwość

Zięć trenera, Piotr Malita, odczytał natomiast list, w którym wyróżniony podkreślił symboliczną więź z federacją – przyszli na świat w tym samym, 1932 roku. „To wielki zaszczyt i źródło głębokiej dumy, móc znaleźć się na liście obok takich postaci jak James Naismith – twórca koszykówki, Renato William Jones – założyciel FIBA, oraz wiele innych wybitnych osobowości naszego sportu. Szczególnie cieszy mnie obecność na tej wyróżnionej liście niektórych z moich dawnych boiskowych rywali, takich jak Pat Summitt, Natalia Hejkova, Giancarlo Primo, Ciga Vasojević i Jewgienij Gomelski" - napisał Miętta-Mikołajewicz. „Drodzy przyjaciele koszykówki – używam słowa „przyjaciele" celowo, ponieważ przez całe moje 80 lat z koszykówką doświadczyłem niezliczonych aktów przyjaźni, życzliwości i dobrej woli ze strony zawodników, trenerów, sędziów i działaczy. Życzliwość zawsze była moim życiowym mottem. Jest ona fundamentem relacji międzyludzkich. Dzięki koszykówce poznałem nadzwyczajnych ludzi i miałem przywilej podróżować po świecie, od Australii po Brazylię. Nawet po zakończeniu kariery trenerskiej pozostałem blisko gry, służąc jako komisarz FIBA podczas wielu turniejów i zawodów. Biorąc pod uwagę, że urodziłem się w 1932 roku – tym samym, w którym założono FIBA – odważę się powiedzieć, że czuję się jak brat bliźniak organizacji".



Fot. PZKosz

Ludwik Miętta-Mikołajewicz dołączył do grona wielkich sław w Galerii FIBA.

Wielkie nazwiska

Obecny na uroczystości Grzegorz Bachański podkreślił, że to wielki dzień dla polskiego basketu: - To wielki zaszczyt dla polskiej koszykówki. Pan Ludwik jest kolejnym z wielkich naszego środowiska docenionym także przez FIBA - podkreślił prezes PZKosz

Tegoroczna gala Galerii Sław obfitowała w nazwiska światowego formatu. Obok Polaka uhonorowani zostali m.in.: Niemiec Dirk Nowitzki, ikona NBA i Dallas Mavericks, siódmy strzelec w historii ligi, Amerykanka Sue Bird, pięciokrotna mistrzyni olimpijska i czterokrotna mistrzyni świata oraz Hedo Turkoglu, gwiazda reprezentacji Turcji i parkietów NBA.

Ludwik Miętta-Mikołajewicz dołączył do wąskiego grona wybitnych Polaków wyróżnionych przez światową federację. Przed nim to trofeum otrzymali: Marian Kozłowski (2007), wieloletni prezes polskiej federacji i działacz FIBA, Małgorzata Dydek (2019), legendarna środkowa, gwiazda WNBA oraz Mieczysław Łopatka (2021), czterokrotny olimpijczyk, trzykrotny medalista mistrzostw Europy.

Galeria Sław powstała w 2007 roku w szwajcarskiej miejscowości Mies. Skupia ponad 200 wybitnych nazwisk związanych z dyscypliną z 45 krajów.

(pp)

Finisz pełen niewiadomych

W tabeli wielki ścisk, a sezon zasadniczy wkracza w decydującą fazę.

ORLEN BASKET LIGA

Do końca sezonu zasadniczego zostały już tylko trzy kolejki, ale ścisk w tabeli jest ogromny, a znaków zapytania mnóstwo. Piąte w klasyfikacji Dziki Warszawa i 11. Górnik Wałbrzych dzielą tylko 2 punkty, więc jeszcze wszystko może się zdarzyć. W nowym systemie rozgrywek (obowiązuje od ubiegłego sezonu) miejsca 1-6 dają bezpośredni awans do ćwierćfinału (play off), natomiast drużyny z miejsc 7–10 zagrają w turnieju play in o dwa pozostałe bilety.

Szansa dla Dzików

Rywalizacja o miejsca 1-6 to obecnie najbardziej gorący sektor tabeli, ponieważ stawką jest uniknięcie nieprzewidywalnej fazy play in i bezpośredni awans do 1/4 finału. King Szczecin i Legia Warszawa są już pewne play offu. Zapewne te drużyny stoczą walkę o rozstawienie z jedynką. 6 maja, w ostatniej kolejce w hali na Bemowie Zieloni, Kanonierzy podejmować będą Wilki Morskie.

Trefl Sopot, Arka Gdynia oraz Śląsk Wrocław mają po 44 punkty i też są niemal pewni play offu. Wrocławianie znajdują się w sytuacji uprzywilejowanej, bo przed nimi jeszcze mecz zaległy z Twardymi Piernikami Toruń (28 kwietnia). Bardzo prawdopodobne, że Śląsk zagra z co najmniej trzecim numerem rozstawienia.

Pozostaje jedno wolne miejsce w szóstce. Najbliżej mają Dziki(43 punkty), ale stołeczna ekipa czuje na plecach oddech grupy pościgowej - Stal Ostrów Wlkp., Anwil Włocławek oraz MKS Dąbrowa Górnicza mają tylko punkt straty.

MKS zagra z liderami

Kto będzie skazany na play in? W barażach zagrają cztery drużyny. Trzy z nich to te, które odpadną z walki o szóstkę (wg stanu na dziś będą to Anwil, MKS i Stal). Stawkę uzupełni ktoś z duetu Górnik Wałbrzych i Zastal Zielona Góra (oba zespoły mają po 41 punktów). Najłatwiejszy terminarz mają Wałbrzyszanie, którzy podejmą Słupsk oraz pojadą do Torunia i Ostrowa. MKS jest ostatnio w dobrej dyspozycji, ale na finiszu będzie musiał grać z duetem liderów (wyjazd do Szczecina, u siebie z Legią), więc w razie niepowodzenia, może spaść nawet na 10. miejsce.

Widmo spadku nad Krosnem

Sytuacja na dole tabeli jest już niemal przesądzona, choć matematyka wciąż daje cień nadziei najbardziej zagrożonej drużynie. Wszystko wskazuje, że to beniaminek z Krosna pożegna się z ekstraklasą. W ostatnich trzech kolejkach zagra z Zastalem, Kingiem oraz Śląskiem. To niezwykle trudna drabinka. Aby uciec z ostatniego miejsca, Krosno musiałoby wygrać co najmniej dwa (a prawdopodobnie wszystkie trzy) ostatnie mecze, licząc jednocześnie na komplet porażek GTK Gliwice. Ta ostatnia drużyna ma obecnie serię ośmiu przegranych spotkań, a przed sobą wyjazd do Lublina, domowe starcie z Twardymi Piernikami, wyjazd do Słupska i los we własnych rękach. Terminarz jest znacznie bardziej przystępny niż ten, który ma Krosno. Jedno zwycięstwo (najpewniej z Toruniem) powinno wystarczyć do utrzymania.

(pp)

Dramat Wembanyamy

Kontuzja środkowego Spurs odmieniła losy meczu w San Antonio. Blazers wyrównali stan rywalizacji.

NBA

Kibice koszykówki wstrzymali oddech, gdy na początku meczu w San Antonio poważnie wyglądającej kontuzji doznał lider Spurs, Victor Wembanyama. U Francuza zdiagnozowano wstrząśnienie mózgu po tym, jak upadł twarzą na parkiet po faulu Jrue Holidaya, uderzając szczęką o podłoże. Francuz nie wrócił do gry po tym groźnie wyglądającym incydencie w drugiej kwarcie i został objęty ligowym protokołem dotyczącym wstrząśnień mózgu. To stawia pod znakiem zapytania występ mierzącego 224 cm środkowego w kolejnych meczach serii. Przed tym zdarzeniem Wembanyama zdążył zapisać 5 punktów i 4 zbiórki. Przypomnijmy, że w pierwszym spotkaniu zdemolował Portland, rzucając 35 punktów.

Mimo braku swojego giganta, Spurs wydawali się kontrolować sytuację. Dzięki świetnej serii 13:0 na początku czwartej kwarty odskoczyli na 14 punktów i wydawało się, że zmierzają po drugie zwycięstwo w serii. Portland miało jednak inny plan. Ekipa z Oregonu zakończyła mecz imponującym zrywem 11:2, a defensywa Blazers zamurowała dostęp do kosza – Spurs nie trafili ani jednego rzutu z gry przez ostatnie 3 minuty i 37 sekund! Ciężar gry wziął na swoje barki Scoot Henderson, który rzucił 31 punktów, jednak to akcja z samej końcówki będzie wspominana najdłużej: na 12 sekund przed syreną Deni Avdija (14 pkt) przebił się przez strefę podkoszową i idealnie obsłużył Roberta Williamsa, który potężnym wsadem ustalił wynik. Teraz rywalizacja przenosi się do Portland. Mecz numer 3 odbędzie się w nocy z piątku na sobotę.

Po sześciu latach Billy Donovan zrezygnował ze stanowiska głównego trenera Chicago Bulls. Decyzja zapadła po rozczarowującym sezonie (bilans 31-51) i głębokich zmianach w strukturach zarządczych klubu. - Po serii szczerych i wyczerpujących rozmów z właścicielami na temat przyszłości organizacji zdecydowałem się ustąpić, aby umożliwić rozpoczęcie procesu poszukiwań nowego lidera – przekazał we wtorek Donovan. - Wierzę, że w najlepszym interesie Bulls jest pozwolenie nowemu szefowi na zbudowanie sztabu według własnego uznania. - Billy postawił interes Bulls na pierwszym miejscu. Jesteśmy mu wdzięczni za klasę i zaangażowanie, jakie wniósł do tej organizacji – podsumował właściciel klubu, Jerry Reinsdorf.

Boston - Philadelphia 97:111 (stan rywalizacji 1-1), San Antonio - Portland 103:106 (1-1), LA Lakers – Houston 101:94 (2-0).

(pp)

Sport c2defb851b

Joker w talii Pekki

Napastnik z Krynicy, Szymon Kiełbicki, udowodnił niedowiarkom, że ciężką pracą można osiągnąć wiele i wejść do reprezentacji oraz rozgościć się w niej na dobre.

Początek w ekstralidze miał nadzwyczaj skromny, ale trudno się dziwić, wszak liczy sobie niespełna 20 lat, nie ma żadnego doświadczenia -zaliczył 7 goli i asystę, grając w niższych formacjach. W kolejnym sezonie było już zdecydowanie lepiej, bo zdobył 29 pkt (14 goli+15 asyst), zaś w minionym był jedną z ligowych rewelacji. Z JKH GKS Jastrzębie sięgnął po Puchar Polski, a i rozgrywkach ligowych on i jego koledzy dali się we znaki rywalom. W reprezentacji debiutował 7 listopada 2024 w meczu z Węgrami (1:4) w Budapeszcie. Pierwszego gola zdobył rok później w meczu ze Słowenią (2:3 po dogrywce) w Sosnowcu. Teraz stał się jokerem ekipy trenera Pekki Tirkkonena - wystąpił w 9 spotkaniach i zdobył 7 goli. Być może będzie jedną z centralnych postaci Biało-czerwonych podczas zbliżających się majowych mistrzostw świata Dywizji 1A w Sosnowcu. Szymon Kiełbicki, bo o nim mowa, udowodnił wszystkim niedowiarkom, że ciężką pracą można osiągnąć wiele, wejść do reprezentacji kuchennymi drzwiami i rozgościć się w niej na dobre.

- Na razie trwa twarda rywalizacja o miejsce w drużynie narodowej. Oczywiście, że chciałbym w niej wystąpić w mistrzowskim turnieju i dołożę wszystkich starań, by tak było. Do końca przygotowań zostało trochę czasu oraz trzy mecze towarzyskie i trenerzy będą mieli okazję wybrać optymalny skład – stwierdził uśmiechnięty, acz skromny Szymon.



Szymon Kiełbicki przebojem zdobył miejsce w reprezentacji i zamienił koszulke JKH GKS-u Jastrzębie na GKS-u Tychy.

Za mikry, za słaby?!

Jeżeli ktoś urodził się w Krynicy-Zdroju i ma rodziców entuzjastów sportu, to nie ma innej możliwości: Musi wybrać jazdę na łyżwach i naukę gry w hokeja. I tak właśnie było z 5-letnim Szymonem, bo mama Ewa zaprowadziła go na lodowisko, zaś z tatą Robertem wybrał się na mecz hokejowy i był nim zafascynowany. Może wówczas zakiełkował pomysł, by uganiać za kauczukowym krążkiem. Tradycje w rodzinie były, bo tata grał amatorsko, wujek – zawodowo, zaś dziadek był sędzią hokejowym. Po skończeniu szkoły podstawowej trzeba było dokonać wyboru. Najrozsądniej byłoby trafić do Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Katowicach-Janowie. Pojawił się na testach, ale na nich przepadł!

- Byłem za mikry, bo dopiero potem śmignąłem w górę (teraz ma 185 cm – przyp. red.) i pewnie, zdaniem trenerów, miałem słabsze umiejętności techniczne od pozostałych kandydatów. Zdecydowałem się na szkołę sportową w Krakowie, a w niej była klasa piłkarska. Znalazło się tam kilku hokeistów Cracovii, bo właśnie do tego klubu się przeniosłem z Krynicy – wyjawia jeden z bohaterów minionego sezonu.

Solidne fundamenty

Szymon i kilku jego kolegów miało to szczęście, że juniorami zajmował trener Dominik Salamon, rodem z Krynicy, a jakże.

- To była solidna szkoła i trener sprawił, że z roku na rok poprawiałem swoje umiejętności – wspomina nasz bohater. - Ciężko pracowałem, ale nigdy nie miałem okazji występować w reprezentacji juniorów czy młodzieżowej. Raz jedyny znalazłem się w kadrze do lat 16 i wystąpiłem w turnieju w Pradze. To jednak był epizod i można śmiało powiedzieć, że do kadry seniorów wszedłem kuchennymi drzwiami (śmiech).

Okazuje się, że można i młody napastnik jest tego wymownym przykładem.

- Wiedziałem, że w Cracovii zrobiło się dla mnie za „ciasno", bo szans na seniorską drużynę nie miałem i mój wybór padł na 1-ligową bytomską Polonię. W niej pod kierunkiem trenera Mariusza Puzia miałem okazję występować przez sezon. Wówczas przegraliśmy finał z sanockim Niedźwiadkami i zastanawiałem się co dalej i...

Rozkręcona przygoda...

Szymon na dobre rozsmakował się w hokejowej przygodzie i pewnego dnia gdy przebywał jeszcze w Bytomiu zaterkotał telefon. - Cześć, tu Paweł Zygmunt (też rodem z Krynicy) trener Robert Kalaber chciałby z Tobą pogadać i zobaczyć cie na lodzie. „Zigi" przyjechał się po Szymona do Bytomia i ten podczas zgrupowania kadry w Jastrzębiu miał okazję pokazać swoje umiejętności. Słowacki szkoleniowiec ma wytrawne oko i zaproponował miejsce w JKH GKS-ie.

- To była propozycja-marzenie i trudno było z niej nie skorzystać – na twarzy Szymona znów pojawia się uśmiech. - Trener Kalaber i jego ówczesny współpracownik Rafał Bernacki oraz dyrektor sportowy Leszek Laszkiewicz sprawili, że rozwinąłem się jako hokeista. Trenerzy wymagali, zaś dyrektor Leszek na każdym kroku służył radą. Początkowo grałem, może nie za dużo, ale zespół by inaczej skomponowany, jednak w ostatnim sezonie już u trenera Bernackiego grałem niemal od deski do deski w dużym wymiarze czasowym i to sprawiło, że znalazłem się w kadrze na dłużej, ale na jak długo, to wszystko zależy ode mnie.

Transferowy wyścig

Leszek Laszkiewicz przed minionym sezonem wyjawił, że Kiełbicki otrzymał kilka intratnych propozycji z możniejszych klubów, ale miał jeszcze aktualny kontrakt. Wówczas „Laszka" powiedział: - Pieniędzy u nas więcej nie dostaniesz, ale gwarantuję ci odpowiednią ilość minut na lodzie. Szymon przystał na tę propozycję i chyba nie żałuje tej decyzji.

- Dyrektorowi Leszkowi jestem wdzięczny, a i klub z Jastrzębia będę wspominał z wielkim sentymentem – mocno akcentuje Szymon. - Tutaj dostałem szansę i teraz jestem w zupełnie innym miejscu. Nie będę ściemniał, bo kontrakt się kończył i miałem kilka propozycji. Telefon cały czas dzwonił i byłem tym mocno skołowany, jednak tak naprawdę rozważałem dwie oferty: z Tychów oraz z Sosnowca. Zdecydowałem się na tę pierwszą, ale teraz moja głowa jest zaprzątnięta pracą w kadrze, bo pragnę znaleźć się w składzie na mistrzowski turniej – mówi na pożegnanie.

Szymon Kiełbicki w czasie meczów towarzyskich grał w różnych konfiguracjach personalnych. I, jak sam przyznał, nie jest ważne na jakiej pozycji będzie występował. Jest „głodny" gry, bo przed nim nowy, ciekawy rozdział hokejowej przygody...

Włodzimierz Sowiński

Szymon KIEŁBICKI
ur. 28.04.2003 w Krynicy-Zdroju; kawaler. **Kluby:** KTH Krynica, Cracovia, Polonia Bytom, JKH GKS Jastrzębie.
Sukcesy klubowe: brązowy medal i Puchar Polski (2025) z JKH. W THL rozegrał 144 mecze i zdobył 66 pkt (39 goli+27 asyst). W reprezentacji ma 19 występów i 7 bramek.

Na wagę utrzymania?

Polska reprezentacja juniorów do lat 18 odniosła ważne zwycięstwo w mistrzostwach świata Dywizji 1A w Krynicy-Zdroju. Biało-czerwoni pokonali Słowenię 4:3 i kto wie czy te punkty nie będą na wagę utrzymania na zapleczu elity. Polacy prowadzili 3:1, ale rywale doprowadzili do remisu. Rozstrzygającego gola zdobył Wiktor Tańczyk strzałem z dystansu.

■ **Polska – Słowenia 4:3 (0:0, 2:1, 2:2)**
Gole: Kot (29), Wsół (36, w przewadze), B. Dawid (42), Tańczyk (48) - Rogl (37), Habjanic 2 (42 i 47).
POLSKA: Rydzoń; Bogdał – Wanat, Hornik (4) – Tańczyk, Gawrysiak – Skiba, D. Pereczniew; Lewandowski – Kot – Stryczek,nWsół – B. Dawid – Galant, Tyński – Bagienko – Myszka, Klimczak – M. Pereczniew (2) – Bochyński. Trener Grzegorz ROSTKOWSKI.
Kary: Polska – 6 min, Słowenia – 12 min.
Pozostałe wyniki: Szwajcaria – Węgry 5:1 (0:0, 3:1, 2:0), Ukraina – Kazachstan 3:5 (2:0, 1:2, 0:3),

1. Szwajcaria	3	9	21:4
2. Kazachstan	3	9	20:7
3. Ukraina	3	3	11:13
4. Węgry	3	3	9:14
5. POLSKA	3	3	7:19
6. Słowenia	3	0	7:18

Dzisiaj grają: Kazachstan – Szwajcaria (12.30), Słowenia – Węgry (16.00), Ukraina – Polska (19.30).

(s)

Odwrócone role

NHL

Viktor Arvidsson, 33-letni napastnik z Skelleftei z bogatą przeszłością ligową i reprezentacyjną, zaczynał w Nashville, a potem grał w Los Angeles i w Edmontonie, zaś latem ubiegłego roku trafił do Bostonu. Nadal nic nie stracił nic ze swoich umiejętności snajperskich i w sezonie w 69 spotkaniach zanotował 54 pkt (25 goli+29 asyst). W drugim meczu play offu przyczynił do wygranej Niedźwiadków na wyjeździe z Buffalo Sabres 4:2 (0:0, 3:0, 1:2) i wyrównania w serii na 1-1. Każda wygrana w delegacji to cenna zdobycz.

Szwed rozpoczął i zakończył strzelanie gości (25 i 41 min). Wówczas Niedźwiadki prowadziły już 4:0 i de facto mecz był rozstrzygnięty. Przy trafieniach Morgana Geekiego (37) i Pawla Zacha (39, w przewadze) asystował David Pastrnak, niekwestionowany lider zespołu. Jeremy Swayman mial sporo pracy i obronił 34 strzały, ale pokonali go Bowen Byram (54) i Peyton Krebs (56). Ukko-Pekka Luukkonen, bramkarz gospodarzy, stracił 4 gole na 19 uderzeń i w 16 sek. 3. tercji został zmieniony przez Aleksa Lyona. Ten drugi miał 7 udanych interwencji.

Tymczasem na Florydzie podczas rywalizacji Tampa Bay Lightning z Montreal Canadiens role również się odwróciły. Tym razem Błyskawica wygrała też w dodatkowym czasie z Kanadyjczykami 3:2 (1:1, 0:1, 1:0, 1:0) i stan rywalizacji się wyrównał. Teraz będą dwa mecze w Montrealu.

Zwycięskiego gola zdobył w 73 min 25-letni Szwajcar J.J. Moser, który zalicza drugi sezon w Błyskawicy. Zespół z Florydy przerwał niefortunna passę 7 porażek w dogrywkach w play offie. Brandon Hagel zdobył już trzeciego gola w tej części ligi (9 min) oraz miał asystę przy trafieniu Nikity Kuczerowa (53). Andreja Wasilewskiego (25 udanych interwencji) pokonali Lane Hutson (17, w przewadze) i Josh Anderson (39). Takiego przebiegu tej rywalizacji można było się spodziewać, wszak obie drużyny zajęły 2. i 3. miejsce w Dywizji Atlantyckiej, jednak teraz więcej szans przyznaje się ekipie z Montrealu.

Hokeiści Colorado Avalanche, zdobywcy Puchar Prezydenta, też po dogrywce pokonali Los Angeles Kings 2:1 (0:0, 0:0, 1:1, 1:0). Zwycięskiego gola zdobył Nicolas Roy w 68 min.

1/8 finału Pucharu Stanleya
Konferencja Zachodnia: Colorado – Los Angeles 2:1 po dogrywce, w serii 2-1, Vegas – Utah 2:3, w serii 1-1.
Konferencja Wschodnia: Tampa Bay – Montreal 3:2 po dogrywce, w serii 1-1, Buffalo – Boston 2:4, w serii 1-1.

(ws)

Sport c2defb851b

Serwował aż się kurzyło!

Hubert Hurkacz w debiucie nowego trenera gładko awansował do drugiej rundy Mutua Madrid Open.

W środę polski tenisista rozegrał pierwszy mecz pod wodzą Francuza Gillesa Cervary, który zastąpił w boksie Chilijczyka Nicolasa Massu. I ten debiut wypadł okazale. Co prawda Portugalczyk Jaime Faria zajmuje obecnie dopiero 136. miejsce na świecie, ale wygrana Huberta Hurkacza (63. ATP) po 71 minutach była przekonująca i bezdyskusyjna 6:3, 6:3. Nowy szkoleniowiec Wrocławianina, ze światową „jedynką" (Daniił Miedwiediew) w CV, musiał być zadowolony.

29-letni Hurkacz potwierdził zwyżkę formę zasygnalizowaną w poprzednim tygodniu w Monte Carlo, gdzie po serii siedmiu porażek wygrał dwa spotkania. W środę w 1. rundzie ATP Masters 1000 w Madrycie zaimponował przede wszystkim serwisem - zanotował 12 asów, wygrał 87 procent punktów po pierwszym podaniu i 75 procent po drugim. Tylko raz - w siódmym gemie pierwszego seta - musiał bronić break pointów, pozostałe przy swoim serwisie wygrywał pewnie, prezentując ofensywny tenis.



Fot. PSNEWZ/SIPA/PressFocus

Hubert Hurkacz zagrywał w środę z wysoką skutecznością.

233
KM/H
wyniósł w środę najszybszy serwis Huberta Hurkacza.

W całym meczu „Hubi" popełnił tylko 8 niewymuszonych błędów, przy 14 zagraniach wygrywających. Przełamywał Farię w pierwszym secie w czwartym gemie, a w drugim dwukrotnie - w piątym i dziewiątym.

W drugiej rundzie Wrocławianina czeka trudniejsze zadanie. Jego kolejnym rywalem będzie w piątek rozstawiony z numerem szóstym Lorenzo Musetti (9. ATP), z którym ma bilans 2-2. Ostatni mecz grali ze sobą prawie trzy lata temu, na mączce tylko raz - pięć lat temu, wygrał Włoch, ale Polak skreczował w drugim secie. 24-letni Musetti miał świetny ubiegłoroczny sezon na ziemi (bilans 19-4), był w półfinale m.in. w Madrycie, ale po kontuzji odniesionej w ćwierćfinale Australian Open zagrał dopiero w trzech turniejach. To może być szansą dla „rosnącego" Polaka, który ma też nowego „motywatora" w swoim boksie.

W Madrycie najlepszy wynik Hurkacz osiągnął w 2022 roku, kiedy dotarł do ćwierćfinału - w tym roku potrzebuje do tego jeszcze trzech wygranych...

(ToM)

Celem dziewczyna Celta

Iga Świątek i Magda Linette powalczą w czwartek o trzecią rundę „tysięcznika" w Madrycie.

W Madrycie równolegle do turnieju ATP rozgrywana jest także rywalizacja tenisistek WTA 1000. W środę swoje pierwsze przeciwniczki poznały Iga Świątek i Magdalena Fręch, które w 1. rundzie miały wolny los.

Świątek jest rozstawiona w zawodach z „czwórką" i w czwartek zmierzy się z Darią Snigur. Ukraińska tenisistka, 98. w rankingu, i podopieczna kapitana polskiej drużyny w Billie Jean King Cup Dawida Celta, wygrała w środę po szalonym meczu z reprezentującą Australię Darią Kasatkiną (75. WTA) 6:3, 3:6, 7:6 (15-13). „Dasza", była numer 8. na świecie, miała piłkę meczową w trzecim secie przy stanie 6:5, a następnie jeszcze trzy kolejne w tie-breaku, ale ostatecznie to tenisistka z Kijowa wykorzystała swojego siódmego (!) meczbola.

Mecz Świątek ze Snigur na głównej arenie - Manolo Santana Stadium - rozpocznie się nie wcześniej niż o godzinie 13.00. To pojedynek dwóch juniorskich mistrzyń Wimbledonu - Polka wygrała go w 2018 rok, a Ukrainka rok później. Snigur może na razie pomarzyć o karierze swojej o rok starszej koleżanki, która m.in. w 2024 roku wygrała turniej w Madrycie, a rok wcześniej przegrała z finale z Białorusinką Aryną Sabalenką.

Równie zacięta była potyczka, który wyłoniła rywalkę dla Fręch - Solana Sierra pokonała po dwóch tie-breakach Ukrainkę Dajanę Jastremską 7:6 (12-10), 7:6 (10-8). Mecz 38. w rankingu WTA Łodzianki z notowaną o 50 pozycji niżej Argentynką odbędzie się w piątek. W Madrycie Fręch skorzystała na wycofaniu się z imprezy już po losowaniu rozstawionej z numerem szóstym Amandy Anisimovej i zajęła miejsce Amerykanki w głównej drabince - dzięki temu w pierwszej rundzie miała wolny los.

W czwartek późnym popołudniem natomiast oprócz Świątek mecz drugiej rundy zagra Magda Linette (57. WTA), która po pokonaniu Amerykanki Robin Montgomery (6:4, 6:3) teraz zmierzy się z jej rodaczką o serbskich korzeniach Ivą Jovic (16.). Poznanianka będzie miała okazję do rewanżu na nastolatce za porażki w styczniu w Hobart oraz dwa lata temu w US Open.

(t)

Pod znakiem bojkotu

Zaplanowane na czwartek zaległe spotkanie Falubazu z GKM-em Grudziądz prawdopodobnie odbędzie się przy mocno pustawych trybunach.

PGE EKSTRALIGA

W zielonogórskim klubie problemy zdają się nie mieć końca. Po mocno rozczarowującym piątym miejscu w poprzednim sezonie, w tym Falubaz miał już na dobre włączyć się do walki o pierwszą czwórkę, apetyty niektórych sięgały nawet medalu. Podstawy sportowe były ku temu wydawały się być solidne - zatrzymano lidera Leona Madsena, do tego ekipę wzmocniono jednym z najlepszych Polaków – Dominikiem Kuberą oraz Andrzejem Lebiediewem, który notuje stały progres i bez żadnej przesady można go zaliczyć do światowej czołówki.

Groźne kontuzje

Już początek sezonu 2026 przyniósł jednak nowe problemy. Poczynając od tych sportowych, na turnieju pożegnalnym Grzegorza Walaska (nowego menago Falubazu) kontuzji doznał Leon Madsen. Pewnie i tak niewiele pomógłby drużynie, która na inaugurację skompromitowała się we Wrocławiu przegrywając (26:64) różnicą 38 punktów! W czwartek ma być gotowy do startu, ale niewiadomą pozostaje dyspozycja Duńczyka. Jakby tego było mało, w eliminacjach Srebrnego Kasku w Rybniku (7.05) po groźnym upadku złamania uda doznał najlepszy z młodzieżowców Damian Ratajczak. Zawodnik będzie musiał przejść operację, a o terminie powrotu na tor na razie nawet się nie spekuluje, w zielonogórskim klubie bezpiecznie mówią o „tym sezonie".



Fot. Gleb Sobolev/PressFocus

Fani Falubazu wspierali drużynę we Wrocławiu. Na swój stadion na razie się jednak nie wybierają.

Konflikt z kibicami

Być może jeszcze poważniejszym problemem klubu z Grodu Bachusa jest jednak konflikt z kibicami. Najpierw poszło o rekordowe i nieakceptowalne przez fanów ceny biletów na mecze PGE Ekstraligi. Za najtańszą wejściówkę w Zielonej Górze trzeba bowiem zapłacić aż 90 złotych (po licznych protestach klub postanowił je obniżyć o 20 zł)! To zdecydowanie więcej niż we wszystkich pozostałych klubach, aczkolwiek taryfikator opłat za możliwość oglądania żużla w tym mieście od lat był wyższy od pozostałych ośrodków. Drugim zarzutem był ruch przeciwko grupie kibiców zajmujących się meczowymi oprawami. Na skutek decyzji prezesa Adama Golińskiego zniknęły słupki, które ułatwiały przygotowywanie ich na stadionie Falubazu. Kibice zapowiedzieli bojkot i na mecz z GKM-em się nie wybierają. Na razie na ten jeden, ale swoje dalsze decyzje mają uzależnić od ewentualnej dymisji sternika klubu, z którym są w jawnym konflikcie. Ewentualna porażka w czwartkowym spotkaniu może tylko eskalować wzajemną niechęć.

GKM też protestuje

W akcie „solidarności" na obiekcie przy Wrocławskiej mają nie pojawić się również fani GKM-u. Wiele wskazuje na to, że najbliższe spotkanie, które Grudziądzanie zamierzają oglądać z trybun to dopiero zaplanowana na 8 maja konfrontacja z Unią Leszno. Wcześniej, 3 maja zapowiadają bojkot wyjazdowego meczu w Toruniu. Brak chęci uczestnictwa w derbach z pozycji sektora gości uzasadniają „warunkami uwłaczającymi człowieczeństwu". Naprawdę! - Komu w ostatnich latach udało się wejść (a to nie było takie oczywiste) na toruńską "Zakazo Arenę", ten wie, że cała otoczka związana z uczestnictwem w meczu na tym stadionie urąga człowieczeństwu. Począwszy od (nie) dystrybucji biletów. Przypomnijmy, że w 2024 kilkuset kibiców GKM-u mecz derbowy spędziło pod bramami stadionu, bo klub żużlowy z Torunia, postanowił zakończyć sprzedaż biletów na sektor gości. O internetowej sprzedaży też tam do dziś nie słyszano. Jeśli do tego dołożymy zakaz wnoszenia bębna, elementów oprawy, czy też wpuszczanie tylko wybranych przez siebie flag, to ukazuje się spektakl, w którym nie chce się uczestniczyć. Dotyczy to oczywiście nie tylko nas, podobne problemy napotykają również kibice innych klubów, odwiedzających ten stadion - można przeczytać w specjalnym oświadczeniu kibiców z Grudziądza. W zamian za wycieczkę do Torunia zamierzają oni spotkać się w czasie meczu na swoim stadionie i śledzić spotkanie na specjalnych telebimach.

AWIZOWANE SKŁADY

Falubaz: 9. Dominik Kubera 10. Andrzej Lebiediew 11. Przemysław Pawlicki 12. Michał Curzyte; 13. Leon Madsen 14. Mitchell McDiarmid 15. Oskar Hurysz.

GKM: 1. Dominik Kubera 10. Andrzej Lebiediew 11. Przemysław Pawlicki 12. Michał Curzytek 13. Leon Madsen 14. Mitchell McDiarmid 15. Oskar Hurysz

Początek spotkania o 19.30, sędziuje Arkadiusz Kalwasiński.

Mariusz Rajek

Sport c2defb851b

KOMENTARZ „SPORTU”



Daeiusz Leśnikowski

Szlachectwo **ometkowane**

Bez wielkiego ryzyka postawić można tezę, że Radosław Piesiewicz nie zostanie wpisany w poczet wielkich postaci, stojących w przeszłości na czele szacownej organizacji, jaką jest Polski Komitet Olimpijski. Daleko mu do kilku wybitnych poprzedników na stanowisku prezesa PKOl – by wymienić księcia Stefana Lubomirskiego, pułkownika Kazimierza Glabisza, czy wspominanych z sentymentem przez samych sportowców Włodzimierza Reczka, Piotra Nurowskiego albo Andrzeja Kraśnickiego.

Mam świadomość faktu, że – nie jest to przecież wyłącznie polskie zjawisko – idea prawdziwego, czystego olimpizmu autorstwa barona Pierre'a de Coubertina dawno już się zmonetyzowała. Wciąż jednak – oj, niepoprawny ze mnie romantyk... - takie zestawienie słów, jak na naszej dzisiejszej „jedynce”, ale też na frontonie siedziby PKOl, budzi u mnie niesmak. Tym większy, im więcej okoliczności kontrowersyjnej kryptotransakcji „ometkowania” Centrum Olimpijskiego nazwą „sponsora” poznawaliśmy w ostatnich miesiącach, i im więcej wiadomości na temat owegoż „sponsora” wypływa od paru tygodni. Jego nazwa, słowami samego premiera RP skojarzona z rosyjską mafią, przykryła – po pierwsze – samą szlachetność przymiotnika „olimpijskie”, po drugie – także postać patrona tejże placówki.

Rację mieli ci, którzy od samego początku owej sponsorskiej hucpy mówili o narażaniu na szwank wizerunku instytucji z ponadstuletnią historią. Feralna nazwa znika dziś z szyldów klubów sportowych – publicznych i prywatnych, wciąż jednak dumnie góruje nad najważniejszą organizacją sportową w kraju. Jej prezes tymczasem wciąż nie widzi powodu, by ten stan rzeczy zmieniać. W tym kontekście liczenie na to, że uzna swój błąd i honorowo go skwituje (własną dymisją), jawi się płonną nadzieją. Rewolucja personalna – w celu obrony szlachetnej idei i szanowanej instytucji przed kolejnymi wstydliwymi wpadkami – musi przyjść z wnętrza środowiska sportowego. Od tych, dla których pojęcia „uczciwość”, „przejrzystość”, „etyczność” są nie tylko pustym hasłem...

Odwołanie prezesa PKOl byłoby skomplikowane

Opozycja wobec prezesa Radosława Piesiewicza domaga się natychmiastowego zwołania posiedzenia zarządu.

Od strony prawnej sytuacja jest trochę skomplikowana - tak adwokat dr Paweł Kokot, specjalista z zakresu prawa sportowego, odniósł się do możliwości odwołania szefa PKOl w trakcie kadencji.



Fot. PAP/Piotr Nowak

Prezes PKOl Radosław Piesiewicz podczas briefingu prasowego w związku z „wieloma zapytaniami mediów w sprawie sponsora generalnego PKOl - zondacrypto”.

Protesty, protesty...

Napięta atmosfera wokół PKOl panuje w zasadzie od igrzysk olimpijskich w Paryżu, a najwięcej kontrowersji wzbudza osoba Piesiewicza, kierującego tą organizacją od kwietnia 2023 roku. Najpierw był konflikt z ówczesnym ministrem sportu i turystyki Sławomirem Nitrasem, później kłopoty związane z odejściem państwowych sponsorów, niejasności związane z pobieraniem pensji i jej wysokością oraz liczne kontrole, w tym skarbowe. Prokuratura Regionalna w Gdańsku prowadzi śledztwo w sprawie możliwości popełnienia przestępstw przez Piesiewicza, które mogły polegać m.in. na wystawianiu fałszywych faktur na rzecz PKOl oraz wydawaniu środków pieniężnych PKOl niezgodnie z celami statutowymi.

Ostatnim kontrowersyjnym elementem działalności Piesiewicza było podpisanie w październiku 2025 umowy z giełdą kryptowalut Zondacrypto, która została sponsorem generalnym PKOl. Tuż po jej zawarciu część członków zarządu głośno przeciw temu protestowała, wskazując m.in. na brak konsultacji oraz możliwe zagrożenia wizerunkowe, a 15 osób podpisało się pod listem, w którym domagali się wyjaśnień od prezesa.

Kolejna odsłona tego tematu zaczęła się wraz z pojawieniem się informacji o kłopotach finansowych giełdy oraz braku możliwości spieniężenia nagród w postaci tokenów, jakie sponsor ufundował i przekazał polskim olimpijczykom za ich wyniki w tegorocznych zimowych igrzyskach we Włoszech.

Dymisja uzdrowiłaby sytuację?

Piesiewicz w poniedziałek tłumaczył, że mimo zgłaszanych nieprawidłowości w funkcjonowaniu giełdy PKOl nie ma podstaw do zerwania umowy sponsorskiej z tym podmiotem, gdyż wszystkie świadczenia ze strony sponsora są realizowane. - Dopóki nasz sponsor wywiązuje się z warunków umowy, to jesteśmy zobligowani do dalszej współpracy. Zerwanie umowy wiąże się z zapłatą kary umownej, na którą PKOl nie stać - powiedział.

Ostatnie wydarzenia sprawiły, iż odżyły głosy, że sytuację mogłaby uzdrowić dymisja prezesa. Piesiewicz do tej pory ją wykluczał. Z kolei zmiana szefa PKOl w trakcie kadencji pod względem prawnym - jak ocenił w rozmowie PAP Kokot - jest skomplikowana.

- Od strony prawnej sytuacja jest trochę skomplikowana. W myśl ustawy o sporcie, PKOl jest związkiem stowarzyszeń posiadającym sporą dozę autonomii. Sama ustawa o sporcie poświęca narodowemu ruchowi olimpijskiemu kilka przepisów, wskazując m.in. że PKOl jest instytucją pozarządową, która samodzielnie wyznacza i realizuje cele związane z ruchem olimpijskim. W porównaniu do funkcjonowania takich organizacji, jak polskie związki sportowe, ustawa nie przewiduje w stosunku do PKOl tak daleko idących kompetencji nadzorczych ministra właściwego dla kultury fizycznej. W sprawach nieuregulowanych do działalności PKOl zastosowanie znajdują przepisy ustawy – prawo o stowarzyszeniach, a sam Komitet działa oczywiście w oparciu o swe wewnętrzne akty normatywne, wśród których najważniejszym jest statut – tłumaczył PAP dr Kokot.

Według niektórych prawników odwołać prezesa mogłoby Walne Zgromadzenie. Takie, o charakterze sprawozdawczym, powinno odbyć się w czerwcu, ale na razie prezes PKOl nie zwołał go i nie podał terminu. Kokot jest ostrożny w kwestii uprawnień tego organu.

- Walne Zgromadzenie jest najwyższym organem władzy PKOl – dokonuje wyboru prezesa, członków zarządu i członków Komisji Rewizyjnej. W statucie w katalogu kompetencji Walnego Zgromadzenia członków nie ma jednak punktu mówiącego o odwoływaniu członków organów władzy - nadmienił.

Wspomniał, że w przeszłości miała miejsce sytuacja, że na stronie PKOl pojawiło się oświadczenie dotyczące jednej z publikacji prasowych, w którym stwierdzono, że „nieprawdziwe jest także zdanie, że do odwołania prezesa w trakcie kadencji potrzeba większości 2/3 przy obecności połowy uprawnionych do głosowania na Nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu”. - Rzeczywiście, takiego postanowienia nie ma w statucie - zaznaczył.

Zarząd, a nie Walne Zgromadzenie

Kokot, który jest również wykładowcą teorii prawa i prawa sportowego na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, zwrócił uwagę na artykuł 19 ust. 3 statutu PKOl, w którym zawarte zostały zasady odwoływania członków zarządu w trakcie kadencji. Według tego postanowienia, w czasie trwania kadencji zarząd albo Komisja Rewizyjna mogą odwołać, w drodze uchwały, ze swojego grona członków, którzy „nie wywiązują się ze swych obowiązków albo swoim postępowaniem naruszyli statut lub dobre imię PKOl”. - Taka interpretacja statutu PKOl prowadzi do wniosku, że organem władnym do odwołania prezesa w trakcie kadencji jest zarząd, a nie Walne Zgromadzenie. Z artykułu 19 ust. 3 wynika, że w trakcie kadencji danego zarządu PKOl to ów zarząd jest władny do podjęcia uchwały o odwołaniu z grona swoich członków takiej osoby, która nie wywiązuje się ze swoich obowiązków. Porządkując procedury, członkowie zarządu są wybierani przez wyborcze Walne Zgromadzenie członków stowarzyszenia, ale już w trakcie kadencji ich odwoływanie leży w kompetencji zarządu – wskazał ekspert.

Jakie skutki tąpnięcia?

Zdaniem Adama Konopki, jednego z wiceprezesów PKOl, sytuacją wokół sponsora generalnego i jej konsekwencjami dla organizacji powinien się natychmiast zająć zarząd. - Tąpnięcie wokół sponsora i istniejące widmo jego upadłości naraża nas jako PKOl na kolejną odsłonę kryzysu wizerunkowego. Poza tym powinniśmy się dowiedzieć, z jakimi konsekwencjami, zarówno prawnymi, jak i finansowymi, przyjdzie nam się zmierzyć - powiedział PAP Konopka.

W piątek ma dojść do spotkania ministra sportu Jakuba Rutnickiego z przedstawicielami związków sportowych. Zgodnie z informacją na stronie internetowej PKOl, w zarządzie zasiada 39 przedstawicieli związków dyscyplin olimpijskich, choć w praktyce osób związanych z poszczególnymi federacjami jest więcej.Kadencja prezesa Piesiewicza dobiegnie końca wiosną przyszłego roku.

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

CZWARTEK, 23 KWIETNIA

TVP 1
20.10 Wiadomości sportowe

TVP 3
16.25, 19.00, 21.52 Przegląd wydarzeń regionalnych

POLSAT
19.30 Wiadomości sportowe

TVN
19.35 Wiadomości sportowe

TVP SPORT
17.25 Pływanie: MP w Olsztynie (na żywo); 19.55 Pn: Betclic 1. Liga, Wieczysta Kraków – Polonia Bytom (na żywo); 1.00 Koszykówka: NBA, Atlanta Hawks – New York Knicks (na żywo)

EUROSPORT 1
14.00, 19.30 Snooker: MŚ w Sheffield (na żywo)

EUROSPORT 2
13.35 Tour of the Alps, 4. etap (na żywo); 21.00 Golf: Zurich Classic od New Orleans (na żywo)

POLSAT SPORT 1
11.00 Tenis: Turniej ATP w Madrycie (na żywo)

POLSAT SPORT 2
17.30 Siatkówka: PLS 1. Liga, BBTS Bielsko-Biała – CUK Anioły Toruń (na żywo); 20.55 Pn: Liga holenderska, PSV Eindhoven – PEC Zwolle (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 4
18.55 Koszykówka: Orlen Basket Liga, Miasto Szkła Krosno – Orlen Zastal Zielona Góra (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1
11.00 Tenis: Turniej ATP w Madrycie (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 2
11.00 Tenis: Turniej ATP w Madrycie (na żywo)

CANAL+ SPORT
19.15 Żużel: PGE Ekstraliga, Stelmet Fabulaz Zielona Góra – Bayersystem GKM Grudziądz (na żywo)

CANAL+ SPORT 2
11.00 Tenis: Turniej WTA w Madrycie (na żywo)

CANAL+ SPORT 3
18.55 Pn: Liga hiszpańska, Levante – Sevilla, 21.25 Real Oviedo – Villarreal (na żywo)

ELEVEN SPORTS 1
20.40 Pn: Puchar Niemiec, Stuttgart – Freiburg (na żywo)

ELEVEN SPORTS 2
19.55 Pn: Liga hiszpańska, Rayo Vallecano – Espanyol Barcelona (na żywo)

Sport
Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny Tomasz MUCHA
Redaktor wydania Paweł CZADO
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba
Druk: Drukarnia Sosnowiec Polska Press Spółka z o.o., ul. Baczyńskiego 25a; 41-203 Sosnowiec

Sport c2defb851b

Z latarnią morską w tle

Matt Fitzpatrick pokonał Scottiego Schefflera, numer jeden światowego golfa. Zanim dokończył dzieła w turnieju RBC Heritage, zdołał jeszcze rozbawić wielkiego rywala, przekornie przedstawiając mu się tuż przed rozpoczęciem dogrywki.

Ostatnio Fitzpatrick błyszczy fenomenalną formą, co znajduje odzwierciedlenie w najnowszej pozycji w rankingu światowym, która jest najlepsza w dotychczasowej karierze. Aktualnie trzeci golfista świata zwyciężał całkiem niedawno w teksańskim Valspar Championship. Tydzień wcześniej niemal wygrał w The Players Championship, przegrywając na ostatnim dołku jednym uderzeniem z Cameronem Youngiem.



Zdjęcia RBC Heritage

Do twarzy mu w kracoiastej marynarce.

Rozpędzał się w Teksasie

W Valspar Championship rozpoczynał niedzielę, tracąc trzy uderzenia do Koreańczyka Sungjae Ima, który sam siebie wyeliminował z walki o trofeum, notując koszmarny początek dnia - pięć bogeyów na pierwszych dziesięciu dołkach, otwierając szeroko drzwi przed liczną grupą pościgową. Kiedy Anglik rozpoczynał trzynasty dołek dzielił prowadzenie wraz z czterema rywalami - Marco Pengem, Jordanem Smithem, Brandtem Snedekerem i Davidem Lipskym. Świetnie rozegrał serię trzech ostatnich, niezwykle trudnych dołków, znanych na polu Copperhead jako „Snake Pit". To właśnie tam wygrał ten turniej, notując tam raczej rzadki rezultat -1. Na osiemnastce posłał idealny drive na środek fairwaya, a po chwili posadził piłkę cztery metry od flagi i pod ogromną presją trafił putta na birdie. Teraz musiał zaczekać na zakończenie gry przez idącego w ostatniej grupie Davida, który musiał trafić birdie na ostatnim dołku, aby wymusić dogrywkę. Putt sprzed greenu zatrzymał się tuż obok dołka, a „Fitzy" mógł świętować pierwsze zwycięstwo PGA Tour od kwietnia 2023 roku, kiedy to triumfował w… RBC Heritage. „Szczerze mówiąc, zeszły tydzień potwornie bolał" – opisywał huśtawkę nastrojów. „Przegrana w taki sposób zostaje w głowie. Ale dzisiaj, stojąc na osiemnastym fairwayu, powiedziałem sobie: 'Nie tym razem'. Trafienie tego putta na koniec było najlepszym uczuciem na świecie. To zwycięstwo smakuje wyjątkowo, bo pokazało, że potrafię wyciągnąć wnioski z błędów w ciągu zaledwie siedmiu dni. To był test charakteru".

Obrońca tytułu

Po solidnym występie w Masters, gdzie uplasował się na osiemnastym miejscu, osiem uderzeń za broniącym tytułu kolegą z drużyny Ryder Cup - Rorym McIlroyem, przyszła pora na obronę tytułu przez Fitzpatricka, podczas flagowego turnieju PGA Tour - RBC Heritage. Niedzielna runda pełna była zwrotów akcji i tym razem to on rozpoczynał dzień jako lider z trzema uderzeniami przewagi. W ostatniej grupie towarzyszył mu tego dnia nie kto inny jak… sam Scottie Scheffler, który w swoim stylu rzucił się do pościgu. Mocno upraszczając, niedzielna batalia wyglądała następująco: Matt przez niemal całą rundę bronił się, wciskając raz po raz putty na par, a Scottie wciąż stwarzał sobie okazje do ataku, nie trafiając jednak na birdie po wypracowaniu świetnych na nie pozycji. Po dwóch birdie na pierwszych trzech dołkach, Fitzy zanotował kolejnych 14 parów, aż wreszcie pękł na osiemnastce - notując tam bogeya. Wchodząc na start piętnastki miał trzy uderzenia przewagi, ale w tym momencie Scheffler zaczął go dociskać. Trafiając birdie na dokach 15 i 16 Scottie zredukował przewagę Anglika tylko do jednego uderzenia. Na ostatnim dołku par Schefflera przeciwko pierwszemu bogeyowi dnia Fitzpatricka odesłał niedawnych rywali z Ryder Cup na dogrywkę, która odbyła się oczywiście na trudnej, granej tego dnia pod niemal huraganowy wiatr osiemnastce. Obaj posłali pierwsze uderzenie na fairway. Fitzpatrick był nieco dalej od dołka, więc to on grał na green jako pierwszy. Wyciągnął czwórkę iron i wystrzelił absolutnie fenomenalny pocisk z 204 jardów, lądując piłką… 4 metry od flagi! „To uderzenie było jak z innego świata. Czułem, że jestem w dobrej sytuacji, ale trafić tak 4-żelazo w dogrywce... to było niesamowite" - opisywał później to mistrzowskie zagranie. Cała presja przeszła w tym momencie na barki Scottiego, który dla odmiany wykonał prawdopodobnie najgorsze uderzenie w swojej błyskotliwej karierze. Jego piłka wylądowała około trzydzieści metrów za krótko, nie dolatując w zasadzie nawet w okolicę greenu. Dzięki fenomenalnej krótkiej grze, którą prezentował przez cały dzień, tym razem znowu zagrał blisko flagi, nieco bliżej niż leżała piłka oponenta. Fitzpatrick, który ewidentnie posiada nerwy ze stali, trafił putt na birdie i już było po wszystkim. „To wymagało mnóstwa determinacji. Wiedziałem, że Scottie zrobi kilka birdie na finiszu i musiałem się po prostu trzymać. Stanąć twarzą w twarz ze Scottiem i dowieźć to do końca jest czymś wyjątkowym".

Szczęśliwe miejsce

Pole Harbour Town Golf Links to miejsce magiczne dla Matta Fitzpatricka. Właśnie tam narodziła się jego miłość do golfa. Dla rodziny Fitzpatricków wyspa Hilton Head w Karolinie Południowej była stałym punktem wakacyjnym eskapad przez ponad dwie dekady. Russell i Sue Fitzpatrick przywozili tam swoich synów, Matta i Alexa, od kiedy późniejszy zwycięzca US Open skończył sześć lat. Choć początkowo rodzina przyjeżdżała tam głównie na tenisa, młody Matt szybko zafascynował się polem golfowym Harbour Town, jako dziecko obserwując tam najlepszych graczy PGA Tour, marząc, by kiedyś samemu założyć słynną kraciastą marynarkę zwycięzcy. Matt wielokrotnie podkreślał, że Harbour Town nazywa swoim „szczęśliwym miejscem". Po raz pierwszy zwyciężył tam w 2023 roku, pokonując Jordana Spietha na trzecim dołku dogrywki, popisując się na koniec fenomenalnym zagraniem tuż pod flagę, bardzo przypominającym to, które wykonał teraz w dogrywce z Schefflerem. Obok greenu czekały wtedy na niego jego mama i ówczesna dziewczyna - Katherine, która teraz też tam była, tym razem już jako małżonka. Oczekując trzy lata temu na ceremonię wręczenia trofeum, ubrany już w charakterystyczną bordową marynarkę, Fitzpatrick zażartował: „Myślę, że teraz mogę już przejść na emeryturę". „Trudno to opisać. Lepiej już być nie może. Idąc tutaj i patrząc dookoła... to pole, o którym marzyłem, żeby na nim zagrać, gdy byłem młody. To zwycięstwo znaczy dla mnie więcej niż cokolwiek innego" - podkreślał wtedy swoje uczucia do tego miejsca.

Krótka pamięć

Kibice turnieju RBC Heritage z jakichś powodów czuli się tam trochę jak podczas meczu Ryder Cup. Co pewien czas słychać było charakterystyczne okrzyki: „USA, USA". Matt wydawał się tym zupełnie niezmieszany, a nawet jeszcze bardziej nakręcony, podobnie jak działo się to podczas pamiętnego Ryder Cup w Nowym Jorku. „Amerykanie są niesamowicie patriotyczni i uważam, że to było wspaniałe. Jedynym problemem jest to, że mają krótką pamięć, ponieważ to my wygraliśmy w październiku" - nawiązywał z typowym angielskim poczuciem humoru do wydarzeń na Bethpage Black. „Nie ma lepszego uczucia niż wygrana w takim otoczeniu. To jak zwycięstwo na wyjeździe z największym rywalem. Kocham tę atmosferę – ludzie wspierali Scottiego i to świetne, bo golf potrzebuje takich emocji". „To był turniej, który chciałem wygrać dorastając bardziej niż jakikolwiek Wielki Szlem, zanim jeszcze w pełni zrozumiałem tę grę. Wygrać tu dwukrotnie znaczy dla mnie wszystko". O jego przywiązaniu do tego miejsca najlepiej świadczy... pokrowiec na drivera, który tradycyjnie zabrał ze sobą. Ma on kształt słynnej, czerwono-białej latarni morskiej Harbour Town Lighthouse, która góruje za osiemnastym greenem. Matt używa go od swojego debiutu w RBC Heritage w 2016 roku. Fitzpatrick nosi ten pokrowiec niemal przez cały rok na wszystkich turniejach, co czyni go jego znakiem rozpoznawczym. Często wspomina, że kupił go jako fan i turysta w miejscowym sklepiku z pamiątkami na długo przed tym, zanim stał się gwiazdą golfa. Dziś jest symbolem tego, jak chłopak marzący o wielkim golfie pod latarnią morską, ostatecznie sam tam zatriumfował.

Szykuje się tydzień pełen wrażeń

Od czwartku bracia Matt i Alex Fitzpatrickowie łączą siły w turnieju Zurich Classic of New Orleans. Po spektakularnym zwycięstwie Matta w RBC Heritage oraz niedawnym triumfie Alexa w Hero Indian Open na DP World Tour, bracia ponownie wystąpią razem na polu TPC Louisiana. To ich czwarty wspólny start w tym formacie. W poprzednich latach zajmowali dziewiętnaste miejsce w 2023 roku, jedenaste rok później, a ostatnio nie przeszli tam cuta jednym uderzeniem.

Kasia Nieciak

TRANSMISJE Z LUIZJANY

■ W czwartek w Afryce Południowej wraca do rywalizacji Dorota Zalewska, która w Royal Cape GC niedaleko Kapsztadu powalczy w turnieju Ladies European Tour - SA Women's Open. Wieczorne transmisje z Luizjany jak zawsze przeprowadzi stacja Eurosport 2, a popołudniami wszystkie cztery rundy rywalizacji kobiet pokaże Golf Zone.

Sport c2defb851b



Wojciech Kuczok

WYMIANA KOSZULEK

Como i klątwa Czesława

Wiadomo, że 2:0 to niebezpieczny wynik", rzekł był niegdyś trener Czesław, ksywa 711 - nie on pierwszy rzekł, ale do niego się ta fraza przykleiła tak bardzo, że od lat mówimy w Polsce o klątwie Michniewicza, gdy drużyna szybko traci dwubramkowe prowadzenie. Chciałem sprawdzić, kto jest prawdziwym ojcem tej sentencji, ale osiągnąłem już paranoiczny poziom lęku przed kocopałami sztucznej inteligencji – nie wierzę internetowym podpowiedziom, a na przegrzebanie źródeł do felietonu czasu szkoda, niechże więc zostanie uznane to ojcostwo, Michniewicz się powinien cieszyć, że coś w świadomości powszechnej przykrywa jego staż w roli call-boya Ryszarda F, alias „Fryzjer". Rzeczona fraza miała uzmysłowić efekt rozprężenia i fałszywej pewności ekipy, która po podwyższeniu na dwa zero nabiera fałszywego przekonania o tym, że mecz jest rozstrzygnięty – od kiedy jednak aforyzm michniewiczowski wszedł do piłkarskiego kanonu, zdarza się, że ma moc wywoływania paniki na prawach odruchu warunkowego. Zwłaszcza, jeśli niespodziewanie wygrywa drużyna obiektywnie słabsza: jeszcze się piłkarze cieszą, jeszcze radośnie wskakują na puklerz strzelca, jeszcze wykonują spontaniczną cieszynkę a już w duszach myślą: „Dżizas-kurwa-ja pierdolę, dwa zero, to przecież klątwa Czesława, po cośmy strzelili, teraz dopiero się zacznie jatka". No i się zaczyna faktycznie, jak na sygnał jedni zaczynają się potykać ze strachu o własne nogi, a drudzy nabierają animuszu, mecz się przeobraża, wynik się odwraca, wygrany mecz kończy się porażką, było murować bramkę przy jednobramkowym prowadzeniu, było poskromić apetyty. Skądinąd pamiętam, jak w sezonie 22/23 Niebiescy szli po awans do Ekstraklasy i wiele z meczów wygrali dopiero w końcówkach, gdy kibice intonowali klubowy hymn – raz i drugi się udało przypadkiem, ale potem rywalom miękły nogi, bo już przed meczem mieli w głowach, żeby się strzec „efektu hymnu". Futbol to także gra psychologiczna, człowiek jest istotą podatną na sugestie. Wszystko to mi się przypomniało przy okazji meczów Como z Interem – obu przegranych w odstępie dziesięciu dni przez ekipę Cesca Fabregasa, pomimo dwubramkowego prowadzenia w obu potyczkach. Fabregas to jest szkoleniowe zaprzeczenie Michniewicza – nie interesuje go wynik za cenę ultradefensywnej strategii, ale przyświeca mu zasada „styl nade wszystko". Jego ekipa, sowicie dofinansowana przez indonezyjskich miliarderów, gra wysokim pressingiem i chce być kochana za piękną grę, nawet jeśli ta nie zawsze jest skuteczna. Rynek trenerski dzieli się na romantyków i pragmatystów, Katalończyk należy zdecydowanie do tych pierwszych, jego zadaniem jest nie tylko zbudowanie nowej siły w włoskim futbolu, ale nade wszystko stworzenie drużyny grającej najpiękniej we Włoszech. W Lombardii nie wystarczy mieć jeszcze jednej paczki w czubie tabeli, sukcesów drużyn z Mediolanu nie da się przelicytować, można za to skraść serca kibiców dynamiczną, ofensywną i odważną grą – w taki sposób jak przed laty uczyniła to Atalanta w erze Gian Piero Gasperiniego. Como tej wiosny miało nawet nadzieję na podwójny sukces – awans do Champions League i do finału Pucharu Włoch – obie te ambicje trzeba będzie odłożyć na przyszłość właśnie za sprawą porażek z Interem. Najpierw, w kosmicznym meczu ligowym, jednym z najlepszych z sezonie, niebiesko-biała furia przez czterdzieści pięć minut sprawiała, że Inter nie wiedział, co się dzieje i wszystko byłoby ok, gdyby Nico Paz nie podwyższył na to przeklęte dwa zero. Jeszcze przed przerwą Nerazzuri zaczęli odrabiać straty, zdobyli cztery kolejne gole – i uwaga: przy dwubramkowym prowadzeniu znowu zaczęli się gubić. Como trafiło do siatki, a w ostatniej chwili w poprzeczkę – było o włos od remisu, skończyło się 3:4. W środę w półfinale Copa Italia Inter był rozchełstany, zblazowany i po prostu kiepski, Como wygrywało i było lepsze, aż w końcu Piotr Zieliński przypomniał sobie o klątwie Czesława i poświęcił dla dobra drużyny. Podał w środku pola tak niechlujnie, że przy tej klasie zawodnika można podejrzewać sabotaż – po jego stracie Nico Paz podał do rozpędzonego Da Cunhy i zrobiło się 0:2. Zielu za karę musiał zejść z boiska, ale czynił to w spokoju ducha – klątwa musiała zadziałać, Inter zaczął się zbierać właśnie za sprawą zmiennika Polaka, Petar Sucić wszedł na pół godziny i zdążył zaliczyć asystę, a także cudowną zwycięską bramkę. Z perspektywy Interu porzekadło Michniewicza brzmi więc nieco inaczej: „0:2 to fantastyczny wynik, wtedy zaczyna się zabawa". Rozleniwione gwiazdy najlepszej drużyny Półwyspu Apenińskiego, która właśnie sięga po dwudzieste pierwsze scudetto, muszą sobie wymyślać dodatkowe wyzwania, aby znaleźć motywację. A Como na razie gra pięknie i najpiękniej przegrywa.

Niebiescy szli po awans do Ekstraklasy i wiele z meczów wygrali dopiero w końcówkach, gdy kibice intonowali klubowy hymn – raz i drugi się udało przypadkiem, ale potem rywalom miękły nogi, bo już przed meczem mieli w głowach, żeby się strzec „efektu hymnu".

Cesc Fabregas to jest szkoleniowe zaprzeczenie Michniewicza – nie interesuje go wynik za cenę ultradefensywnej strategii, ale przyświeca mu zasada „styl nade wszystko". Jego ekipa, sowicie dofinansowana przez indonezyjskich miliarderów, gra wysokim pressingiem i chce być kochana za piękną grę, nawet jeśli ta nie zawsze jest skuteczna.

Rozleniwione gwiazdy najlepszej drużyny Półwyspu Apenińskiego, która właśnie sięga po dwudzieste pierwsze scudetto, muszą sobie wymyślać dodatkowe wyzwania, aby znaleźć motywację.



Fot. IMAGO/PressFocus

Starcie Assane Diao z Como (z prawej) z Manueeml Akanjim z Interu.

Sport c2defb851b

Mur tym razem zbyt stromy

Katarzyna Niewiadoma osłabła w końcówce finałowej wspinaczki i znalazła się tuż za podium wyścigu Strzała Walońska. Triumfowała jej wielka rywalka Demi Vollering.

Polka uwielbia ten skrojony pod nią klasyk. Jego trasa wiedzie przez południową, pełną niewielkich wzniesień część Belgii i kończy się na kultowym kolarskim podjeździe Mur de Huy (czytaj: iij). Na szczyt z położonego nad rzeką Mozą miasteczka prowadzi licząca niecałe półtora kilometra niezwykle stroma droga. Na jej początku można się nieco rozpędzić, bo nieznacznie idzie pod górę, ale potem nachylenie dochodzi do 19 procent, więc trudno tam nawet podchodzić, i dopiero przed samą metą delikatnie „odpuszcza". Tu liczy się więc przede wszystkim siła, a mistrzyni Polski – choć na taką nie wygląda – zawsze nią dysponowała. I głównie z tego powodu nie opuściła żadnej edycji od 2014 roku, kiedy rozpoczynała bogatą w sukcesy zawodową karierę. Wygrała tu raz, przed dwoma laty, do tego jeszcze dwa razy stawała na podium i w sumie siedmiokrotnie przyjeżdżała w top 10. Od początku tego sezonu znajduje się w świetnej dyspozycji, więc nieco rozczarowana trzema drugimi miejscami w klasykach najwyższej kategorii (belgijskim Omloop Nieuwsblad, włoskim Strade Bianche i holenderskim Amstel Gold Race w ostatnią niedzielę) teraz liczyła na pierwsze zwycięstwo. – Powtarzałam, że zostaję cierpliwa i wierzę, że w końcu nadejdzie – zapowiedziała.



Fot. PAP / EPA

– Wygrałam w imponujący sposób. Nie miałam pojęcia, co dzieje się z tyłu, bo nie oglądałam się za siebie – relacjonowała jak zawsze butna Holenderka.

Wczoraj niemal do samego końca wszystko układało się tak, jak trzeba. Na początku finałowej wspinaczki Polka przesunęła się na przód wyselekcjonowanej, kilkunastoosobowej grupy. Podążała za swoją wielką rywalką, Demi Vollering (FDJ United-SUEZ). Miała niewielką psychiczną przewagę nad Holenderką, bo trzy dni wcześniej wygrała z nią sprint o drugie miejsce. Okazało się to jednak bez znaczenia. Mistrzyni Europy, nie wstając z siodełka i pedałując z wysoką kadencją, nie oglądała się na konkurentki, tylko z wielką mocą parła w górę. Niewiadoma przez sporą część podjazdu była w stanie utrzymać się na jej kole, ale na najbardziej stromych fragmentach została za mistrzynią Europy. Na finałowej prostej dała się jeszcze wyprzedzić dwóm rywalkom i ostatecznie zajęła czwarte miejsce. Po raz drugi w karierze wygrała tu Vollering, która w końcówce musiała jednak wstać z siodełka i przyspieszyć, żeby odeprzeć atak swojej rodaczki i obrończyni tytułu Puck Pieterse (Fenix-Premier Tech). Trzecia szczyt osiągnęła Hiszpanka Paula Blasi (UAE Team ADQ), która tym samym potwierdziła, że jej niedzielne zwycięstwo w Holandii nie było dziełem przypadku.

Faworyt wygrał także w rywalizacji mężczyzn. Pod nieobecność Słoweńca Tadeja Pogacara, który triumfował tu dwukrotnie, i wracającego do znakomitej dyspozycji Belga Remco Evenepoela, zwyciężył Paul Seixas. Rewelacyjny francuski nastolatek, najmłodszy kolarz w stawce, nie dał najmniejszych szans rywalom. Szwajcar Mauro Schmid (Jayco AlUla) i Brytyjczyk Ben Tulett (Visma-Lease a Bike), którzy zajęli odpowiednio drugą i trzecią pozycję, nie byli w stanie mu w żaden sposób zagrozić. Duży udział w sukcesie 19-latka mieli jego koledzy z grupy Decathlon CMA CGM, którzy najpierw zlikwidowali ucieczkę dnia, a potem dowieźli swojego lidera do podnóża podjazdu na bardzo dobrym miejscu. – Dlatego to niezwykle ważne zwycięstwo należy do zespołu. Jestem bardzo zadowolony – cieszył się Francuz, który w niedzielę podczas monumentu Liege-Bastogne-Liege drugi raz w tym roku zmierzy się z Pogacarem (w marcu na Strade Bianche z nim przegrał). Podczas tej kończącej wiosenne klasyki imprezy dojdzie także do kolejnego starcia Niewiadomej z Vollering. Kto tym razem będzie górą?

(gak)

Całkiem blisko podium

Poprawiając własne rekordy Polski, Martyna Dołęga została 6. zawodniczką mistrzostw Europy.

PODNOSZENIE CIĘŻARÓW

Dzisiaj na Twoich barkach spoczywa cały ten ciężar, ale to nie tylko talerze na sztandze. To lata wyrzeczeń, wylany pot, walka z samą sobą. To jest ta chwila, by pokazać, że nie ma rzeczy niemożliwych! Nie myśl o strachu, po prostu spal go swoją pasją! Idź po swoje, walcz, jakby od tego zależało wszystko! Jesteśmy z Tobą w każdej sekundzie! - napisał na Facebooku krótko przed startem swojej córki nasz wybitny sztangista Marcin Dołęga i słowa dotrzymał. Towarzyszył Martynie od początku do końca i z pewnością denerwował się bardziej niż jego podopieczna. Okazało się, że niepotrzebnie, bo 21-letnia sztangistka zanotowała w Batumi całkiem przyzwoity występ. Z pewnością w jej marzeniach było pierwsze podium seniorskich mistrzostw Europy, była na nie przygotowana i prawdę mówiąc, zabrakło jej niewiele, ściślej mówiąc: 4 kg. Polka może żałować nieudanego podejścia do 124 kg w podrzucie, bo gdyby je zaliczyła za pierwszym razem, w ostatniej próbie zaatakowałaby pozycję medalową. Tak się nie stało, ale najmłodsza w kategorii 69 kg zawodniczka zasłużyła na brawa. Poprawiła bowiem własne, niespełna półrocze rekordy Polski do lat 23 i seniorek - w rwaniu o 1 kg (w tym boju perfekcyjnie zaliczyła kolejno 98, 101, 103 kg), w podrzucie o 6 kg i w dwuboju o 7 kg, a przecież zwłaszcza na międzynarodowych zawodach powinno się to robić. Zawodniczka LKS-u EkoSport Siedlce mówi otwarcie, że marzy o sukcesach taty, który ma brąz igrzysk olimpijskich i trzy tytuły mistrza świata w kategorii 105 kg, ale na razie pozostają jej m.in. dwa złote medale ME i brąz MŚ do lat 20.

W tej piekielnie „ciasnej" kategorii, w której walka toczyła się do ostatniego podejścia, prym wiodła startująca pod neutralną flagą, Białorusinka Siuzanna Wałodzka, 4. zawodniczka igrzysk w Paryżu. Tam uzyskała życiowe 246 kg (110+135), a wczoraj do tytułu wystarczyło jej 9 kg mniej.

Gdy Martyna Dołęga rozpoczynała rozgrzewkę, występ w kategorii 79 kg kończył jej chłopak Konrad Łazuga, któremu towarzyszył kolega klubowy z Budowlanych Opole, Kacper Urban. Obaj zaliczyli po trzy podejścia ich wyniki znacznie odbiegały od zakładanych przez trenera Zdzisława Farasia. Lokaty w drugiej dziesiątce dziwić więc nie mogą.

Dziś w Batumi kolejne emocje związane z Biało-czerwonymi. W kategorii 77 kg wystartuje Maria Karolak (Włókniarz Konstantynów Łódzki), a w 88 kg Oskar Ołubek (Omega Kleszczów).

KOBIETY

69 kg: 1. Siuzanna Wałodzka (Białoruś) 237 (108+125), 2. Zarina Gusałowa (Rosja) 232 (105+127), 3. Marie Schweizer (Niemcy) 231 (109+122) ... 6. Martyna Dołęga 227 (103+124).

MĘŻCZYŹNI

79 kg: 1. Geworg Serobjan (Rosja) 241 (161+180), 2. Briken Calja (Albania) 340 (153+187), 3. Martin Poghosjan (Armenia) ... 12. Konrad Łazuga 317 (147+170), 13. Kacper Urban 315 (145+170).

Marek Hajkowski

Zmienne nastroje

W Brazylii, gdzie odbywa się turniej Pucharu Świata, polscy reprezentanci zwycięstwa przeplatają porażkami.

BOKS

We wtorek w nocnej serii turnieju w Foz do Iguacu wystąpiło trzech Polaków, z których tylko Bartłomiej Rośkowicz (65 kg) odniósł zwycięstwo. Z turniejem pożegnali się Nikolas Pawlik (55 kg) i Jakub Domurad (+90 kg).

Rośkowicz sprawił niespodziankę, bo wygrał z faworyzowanym Ormianinem Arturem Sahakyanem. To pięciokrotny mistrz swojego kraju, który zdobywał też medale mistrzostw Europy juniorów i młodzieżowców ME. Pierwszą i drugą rundę Polak wygrał po 4:1. Ostatnia była popisem Rośkowicza, który znakomicie kontrował atakującego rywala. To starcie nasz pięściarz wygrał jednogłośnie, a całą walkę 4:1, czterokrotnie 30:27, tylko jeden sędzia punktował 29:28 dla Sahakyana. Następnym rywalem 22-letniego Polaka będzie rozstawiony z jedynką Brazylijczyk Yuri Falcao, aktualny wicemistrz świata i brązowy medalista olimpijski z Paryża.

Pawlik, który jest niepokonany w polskiej lidze, w 1/16 finału bezdyskusyjnie przegrał z Tadżykiem Merojem Sufijonovem 0:5, wszyscy sędziowie punktowali 30:27. Również Domurad nie powojował w najcięższej kategorii i jednogłośnie przegrał z Azerem Mahammadem Abdullayevem 0:5 (dwa razy 28:29 i trzykrotnie 27:30).

W środę w popołudniowej serii znakomicie spisała się Wiktoria Rogalińska (54 kg), która w 1/8 finału wygrała z Kazaszką Nazym Kyzaibay, brązową medalistką z Paryża i wicemistrzynią świata z Liverpoolu. Polka wygrała w zeszłym roku w brazylijskim turnieju, ale wtedy był on znacznie słabiej obsadzony. Pierwszą rundę Rogalińska przegrała 1:4, ale w drugiej dała koncert boksu. Wyprowadziła wiele celnych ciosów i wygrała to starcie jednogłośnie. Po dwóch rundach u czterech sędziów był remis 29:29, u jednego prowadziła Polka 30:28. W ostatnim starciu nasza reprezentantka kontrolowała wydarzenia w ringu i ostatecznie wygrała 4:1 (trzy razy 29:28 i raz 30:27). W czwartek w wieczornej serii 25-letnia Polka powalczy o półfinał z Marokanką Widad Bertal, zeszłoroczną mistrzynią świata z serbskiego Niszu, turnieju organizowanego przez IBA, nieuznawaną przez MKOl.

Do ćwierćfinału awansował też Damian Durkacz (70 kg), który zwyciężył Kirgiza Ikhtiara Nishonova jednogłośnym werdyktem (trzykrotnie 30:27 i dwukrotnie 29:18). O awans do strefy medalowej zmierzy się z Anglikiem Patrickiem Hewittem. W brzydkim stylu odpadł Paweł Brach (60 kg), który jednogłośnie przegrał z Francuzem Lounesem Hamraouim, do tego dostał upomnienie za umyślne uderzenie rywala głową.

(a)

Sport c2defb851b